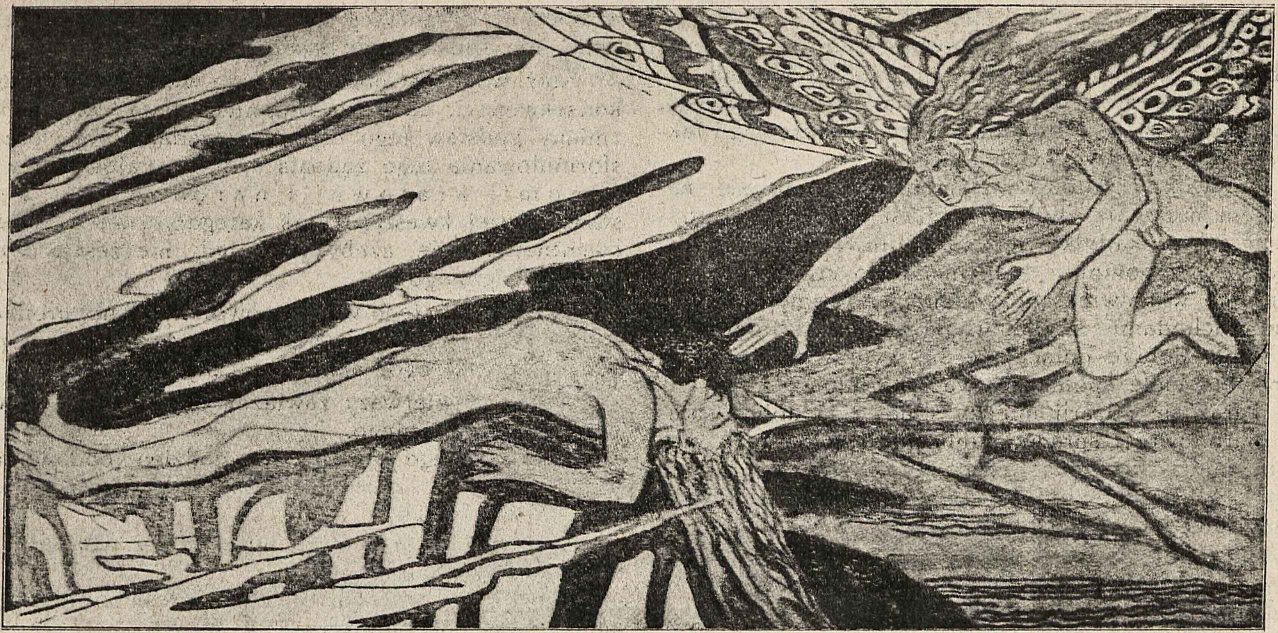


ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

RADYKAŁ.

CO DALEJ?

Prędko bieży życie polityczne w Austryi, a na szachownicy parlamentarnej zmienia się obraz z dnia na dzień, jak w kalejdoskopie.

„Nichts ist dauernd als der Wechsel“ można by powiedzieć z niemieckim poetą.

Kiedy, przed niespełna 3 tygodniami, zamieszczony był pierwszy artykuł pod powyższym nagłówkiem — rządził jeszcze Austryą Gautsch, który przy pomocy p. Bilińskiego składał większość parlamentarną i łamano sobie nad tem jedynie głowę, czy ma wejść do gabinetu dwóch czeskich ministrów, czy tylko jeden, — czy mają to być parlamentarzyści, czy urzędnicy?

Niczego więcej nie potrzebowano wówczas do zbawienia Austryi.

Ileż przejść było w tych 3 tygodniach. Była „wielka“ mowa prezesa Bilińskiego, która się wnet potem i zasadniczo i taktycznie okazała wcale małą.

Był nowy gabinet „wielkości“ biurokratycznych, który przyszedł z wielkim aplombem, zdawało się przez chwilę, że usunął wszystkie objawy rozstroju parlamentarnego, na który choruje nasze życie konstytucyjne, — ale już po kilku dniach widać, że to złudzenie było, — gdyż obecnie już w miejsce kwestyi ministrów czeskich, najbardziej „narodowe“ sfery nasze polityczne robią awanturę o ministrów polskich i całe zbawienie ojczyzny zależy jeszcze tylko od tego, czy będziemy mieli dwóch ministrów Polaków, czy tylko jednego; czy będą to figuranci parlamentarni, czy też mamelucy biurokratyczni.

Ostatecznie gotowa wygrać narodowa demokracya i, pod wpływem jej krzykliwej obrony „narodowych“ interesów, zdobędziemy p o l s k i e g o ministra finansów w osobie... barona Schenka.

I to wszystko dlatego tylko, że stronnictwa demokratyczne i ludowe żrą się ze sobą w sposób wstrętny, — bo jedynym programem politycznym jednych i drugich, — przekora, jedynem dążeniem, — zrobić tamtym na złość, — jedynem pragnieniem, aby wygrać i rządzić samemu, tak samo źle, jak tamten rządził.

W tych walkach partyjnych, prowadzonych z zjadliwością obrzydliwą, — zatraciło się nietylko wszelkie poczucie obowiązków publicznych, — zaprzepaszczono nie tylko wszelkie programowe dążenia i świadomość odpowiedzialności za narodowe interesy, których pieczę ma się sprawować, — ale pogłębiono się tak dalece w zawiści i nienawiści a zarazem dano się do tego stopnia opanować brzydkim, nizkim, osobistym ambicyom, — że słowa i pojęcia, jak „Ojczyzna“, „patryotyzm“, stają się blasfemią w ustach działaczy obu stron stojących dziś na czele obu zwalczających się grup politycznych, a dobro publiczne jest w najcyniczniejszy, jawny

sposób, nawet bez osłonek wszelkich nadużywane dla osobistych i partyjnych celów.

Ani jednej, ani drugiej stronie sprawa ojczyzny, dobro kraju, dobro publiczne już nie są niczem.

Chodzi jedynie o to, czy ma rządzić Biliński, czy Głąbiński — i czy ma w tem macherować i faktorować Grabski, czy Batag.ia.

Ta walka „kotów“ i „lampartów“, jak się nawzajem nazywają, wzbudzić musi u każdego uczciwego człowieka tylko uczucie politowania i pogardy, gdy się przypomni, — jak niedawno koty i lamparty wspólnie w największej zgodzie, tymi samymi wspólnymi zachodami i środkami, dla wspólnych interesów, te same, dobrze opłacające się wyprawiali harce na zdrowem ciele społeczeństwa i narodu.

Teraz się pożarli między sobą — a dobro sprawy narodowej i sprawy publicznej ma od tego głównie zależeć, czy kot rzucony spadnie na równe nogi, czy też lampart zdoła się opędzić podjazdowym napaściom kocich pazurów.

Ale co obchodzi ogół ta walka zwierząt pokrewnych sobie rodów, o jednakich kocich instynktach — to istotnie trudno odgadnąć.

I rozpacz ogarnia na samą myśl, że w społeczeństwie nie może się obudzić jakiś zdrowy instynkt etyczny i demokratyczny, instynkt pragnienia pracy w imię narodowych ideałów i miłości ojczyzny, instynkt któryby dał ogółowi zdolność otrząśnięcia się i wyzwolenia z pod opieki takich zawodowych macherów, co mącić tylko potrafią narodową kadź, i w tem mają jedyne źródło swojego bytu, swoich wpływów, swojego zarobku i dochodów.

Czy te szerokie rzesze demokracyi wiejskiej i miejskiej nie zdołają się skupić pod hasłem nieodpornych potrzeb politycznych doby współczesnej?

Nigdy nie było chwili sposobniejszej do zdobycia w Austryi samorządu krajowego i narodowego — jak obecnie.

Czy to zadanie nie godne najwyższego wysiłku naszych zabiegów, — największego wytężenia i skupienia naszych sił duchowych, uczuciowych, myślowych, społecznych, ekonomicznych — i wszystkich poświęceń w imię dobra Ojczyzny.

Parlament ludowy okazał się tak samo bezsilnym, jak kuryalny.

Nadzieje, jakie przywiązywano do wydobycia instynktów socyalnych z mas ludowych i zapanowania przy ich pomocy nad zróżniczkowaniem narodowem, zawiodły zupełnie.

Parlament jeden, wspólny, złożony z tylu narodowości, nie może nigdy spełnić tych funkcyi, jakie z istoty rzeczy przypadają ciałom reprezentacyjnym w państwach narodowo jednolitych, lub w których obok zastępców innych narodowości dominuje naród jeden, mający przewagę liczebną i historyczną.

Parlament austryacki w jego obecnym składzie, w obecnej organizacyi i z obecnym zakresem działania, nie spełni nigdy swojego zadania.

Któż więc jest powołanym do wyciągnięcia z tego konsekwencyi, do wskazania niechybnej konieczności zmiany podstaw tego ustroju, zażądania tej zmiany, sformułowania tego żądania w duchu najdalszej autonomii krajowej i narodowej — i postawienia tej kwestyi w tak kategorycznej i konsekwentnej formie, ażeby już nigdy nie zeszła z porządku dziennego?

Kto jest do tego więcej powołanym, niż urodzeni autonomiści, polscy politycy, polska opinia publiczna, polski ogół demokratyczny i ludowy?

Wszak to pierwszy zawiązek odrodzenia i oswobodzenia politycznego.

Czyż dla tego samego nie godzien oddania mu się w całości — całem sercem, całą duszą i z całem poświęceniem,

Rzecz niełatwa, — to pewna, ale dziś łatwiejsza, niż kiedykolwiek.

Prawda, — wprzód, lub równocześnie, muszą się spełnić dwie przesłanki:

1. Ugoda polsko - ruska, w duchu narodowej autonomii obok krajowej.

2. Reforma wyborcza na najszerszej podstawie, co najmniej na tej samej podstawie i w tych samych granicach, na których opartą jest obecna ordynacya wyborcza do Rady państwa.

Przeciw temu bronią się konserwatyści i ich satelici, z przyczyn klasowych, nie narodowych.

Ale demokracya nie ma powodu się bronić, ani przeciw jednemu, ani przeciw drugiemu. Kwestya prawa wyborczego leży przecież w jej programie, a autonomia narodowa jest postulatem sprawiedliwości, któremu żaden polski polityk demokratyczny nigdy sprzeciwić się nie może, a dobrowolne postawienie tego postulatu byłoby objawem politycznej mądrości, która przewiduje fakta, wyprzedza je i wprowadza bez niepotrzebnych walk i wstrząśnień.

To też pod temi hasłami na dziś, nie na daleką metę, z takim minimalnym programem, usamodzielnia kraju przy równoczesnej autonomii narodowej i reformie wyborczej, co najmniej, 4 przymiotnikowej, może i powinno nastąpić ideowe skupienie wszystkich żywiołów demokratycznych i ludowych naszego kraju, gdyż tylko to hasło i ten program szczerze pojęte mogą dziś przytłumić sobkostwo i prywatę, jakie opanowały nasze życie publiczne, mogą wywieść parlamentarne życie Austryi z manowców, po jakich kroczy i mogą zdobyć dla kraju i narodu poważny sukces, będący znacznym krokiem na drodze do zupełnego oswobodzenia.

L. W.

Z nad Warty i Odry.

I.

Sytuacya przedwyborcza.

Wybory do parlamentu Rzeszy niemieckiej zostały rozpisane na dzień 12-go stycznia roku przyszłego. Rozpoczęła się więc walka przedwyborcza i uwaga całego społeczeństwa niemieckiego skierowała się na organizacyę tej walki. Wybory najbliższe będą musiały potężnie zaważyć na dalszym biegu życia wewnętrznego Niemiec, ponieważ zanosi się na ostre, bezwzględne starcie żywiołów reakcyjnych, konserwatywnych z elementami postępowymi, demokratycznymi i liberalnymi. Socyaliści niemieccy idą do wyborów z otuchą i wiarą w zwycięstwo, a wszystkie wybory uzupełniające, jakie się w ostatnich czasach w rozmaitych okolicach Niemiec odbyły, świadczą, że otucha ta posiada zupełnie trwałe podstawy. Żywioły postępowe i liberalne również pogodnie spoglądają w przyszłość najbliższą, gdy tymczasem sfery rządowe i reakcyjne nurtuje wielki niepokój. Nieuniknione a znaczne powiększenie się liczby posłów socyalistycznych, przyrost mandatów liberalnych, a ubytek konserwatywnych w nowym parlamencie musi napawać rządowe sfery kierownicze troską poważną. Stąd zaś wypływa niedająca się zaprzeczyć chęć pozyskania dla rządu Polaków.

Koło Polskie w parlamencie berlińskim, liczące w sesyi bieżącej dwudziestu posłów, nie stanowi wprawdzie siły pierwszorzędnej i zajmuje miejsce gdzieś na szarym końcu wśród najmniejszych parlamentarnych ugrupowań partyjnych. Niemniej, jednakże, może ono (jak to już niejednokrotnie udowodniła praktyka parlamentarna Niemiec) bardzo łatwo stać się języczkiem u wagi i swojem głosowaniem, a nawet bodaj powstrzymaniem się od głosowania, przechylić szalę tego, czy owego wniosku. To też rząd najwidoczniej liczy się z możliwością ubiegania się o głosy polskie. I tem właśnie tłómaczy się pewna rezerwa, zachowywana przez sfery rządowe w sprawach polskich.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że ustawa o wywłaszczeniu nie będzie obecnie stosowana. Pewnem też jest, że rząd w tej chwili nie myśli o wprowadzeniu jakichś nowych ustaw antypolskich, ani o prowokacyjnem szykanowaniu Polaków, czego się domaga obóz hakatystyczny z taką natarczywością. Instrukcye, jakie otrzymał nowy prezydent naczelny Poznańskiego, również wskazują na chęć rządu niedrażnienia Polaków przed wyborami. Zapewne, na dającą się odczuwać zmianę w sposobie stosowania istniejącej i nadal polityki bezwzględnie germanizacyjnej wpływają również pobudki charakteru międzynarodowego. Niepewność sytuacyi wszechświatowej, grożącej co chwila niespodziankami, zmusza Niemcy do liczenia się z Polakami, chociażby ze względu na Polaków pod berłem Austryi i Rosyi, ale rządowi niemieckiemu chodzi przedewszystkiem o usługi „Koła Polskiego" w Berlinie.

I, niestety, rząd niemiecki zbyt dobrze zna istotną wartość opozycyjności naszych sfer konserwatywno-klerykalnych, aby nie wiedział, że lada pozór, lada cień zmiany kursu zdoła pozyskać mu w kołach kierowniczych społeczeństwa polskiego w Poznańskiem skwapliwą przychylność. Pomimo pewnej demokratyzacyi społeczeństwa polskiego w Poznańskiem, pomimo rosnącego wpływu Górnego Śląska, gdzie niema polskiego kapitału agrarnego, polityka polska w zaborze pruskim posiada charakter konserwatywno-agrarny. Interesy ekonomiczne nadającej ton całemu życiu tego zaboru szlachty polskiej zbliżają tę ostatnią z konserwatystami niemieckimi. I tylko otwarcie antypolskie stanowisko konserwatyzmu pruskiego nie pozwala junkrom polskim wejść w braterski sojusz z agraryuszami niemieckimi. Z chwilą jednakże, kiedy poczyna się zanosić bodaj na drobniutką, nieznaczną zmianę w traktowaniu przez rząd Polaków, politycy poznańscy gotowi są do taktyki ugodowej, prowadzonej kosztem najżywotniejszych interesów społeczeństwa i kraju. Ta bowiem taktyka umożliwia im bronienie do spółki z Niemcami ich interesów klasowych właścicieli ziemskich. Widzimy też obecnie, że rozmaici Turnowie i t. p. politycy ugodowi, znów wynurzają się na powierzchnię życia Poznańskiego. — „Dziennik Poznański" wypowiada tęsknoty do „wspólnej pracy" Polaków z Niemcami, którą uniemożliwia polityka hakatystyczna. Wystarczy jakiegoś wyraźniejszego wypowiedzenia się rządu przeciwko krańcowościom rozwydrzonego hakatyzmu, wystarczy nieobowiązującej do niczego, poufnej obietnicy ministeryalnej pewnych ulg drobnostkowych, aby polityka ugodowa, analogiczna do polityki z czasów Caprivi'ego, zapanowała w obozie polskim zaboru pruskiego.

Polityka ugodowa znajdzie oparcie nietylko u polskich junkrów Poznańskiego i Prus Zachodnich, ale i u „demokratycznych" klerykałów górnośląskich, kierowanych przez Napieralskiego. Wydawca „Katolika", który zdusił wszystkie bardziej niezależne ogniska pracy polskiej na Górnym Śląsku, jest obecnie dyktatorem w obozie narodowym tej prowincyi. Skupił on w swoim ręku całą prasę górnośląską, obezwładnił ruch narodowo-demokratyczny, pozyskawszy — z dobrodziejstwem inwentarza — jego przywódcę, Korfantego, teraz zaś stara się opanować opinię polską sąsiednich ośrodków zakordonowych, wykupując organy prasowe w Częstochowie, w Zagłębiu Dąbrowskiem i czyniąc próby w tym kierunku na gruncie krakowskim. Zależność ideowa Napieralskiego od centrum niemieckiego czyni go bardzo przystępnym dla haseł czynnej polityki ugodowej. To też na Górnym Śląsku polityka ta nie spotka się z żadnym oporem.

Na razie, oczywiście, wobec faktu, że rząd niczem nie objawił chęci rozpoczęcia otwartej polityki pozyskiwania Polaków, tendencye ugodowe i w Poznańskiem i na Górnym Śląsku nie ujawniają się jaskrawie. Przeciwnie, w prasie polskiej mocno brzmi ton opozycyjny, ale nawet frazesologia opozycyjna nie jest w stanie przesłonić rzeczywistego nastroju kierowników polityki polskiej, bardzo dalekiego od opozycyjności rzetelnej, niezłomnej...

Wnosząc z dotychczasowego przebiegu agitacyi przedwyborczej i w Poznańskiem i na Górnym Śląsku, do żadnych poważniejszych starć w obozie polskim nie dojdzie. Obsadzanie okręgów wyborczych odbywa się gładko i nie wywołuje walk, jakich świadkiem było Poznańskie niezbyt dawno — podczas wyborów uzupełniających w Poznaniu. Centralny ko-

mitet wyborczy, złożony z 15 członków (w tem 6 przedstawicieli Poznańskiego, 4 Prus Zachodnich, Wschodnich i prowincyi Pomorskiej, 3 Śląska i po jednym z Berlina, wraz z Brandenburgią, oraz Westfalii z Nadrenią) ma do obsadzenia 48 okręgów na zwartem terytoryum polskiem, nie licząc okręgów na obczyźnie. Ma się rozumieć, że ani połowa tych okręgów nie należy do takich, w których by kandydat polski mógł zwyciężyć. W wielu też z nich nie chodzi nawet o wystawienie polskiego kandydata, tylko o danie dyrektywy wyborcom polskim, jak się mają zachować i kogo mają poprzeć bądź w głosowaniu ściślejszem, bądź też odrazu.

W Poznańskiem został zawarty kompromis między konserwatystami polskimi a narodowymi demokratami. Kompromis, dogodny dla tych ostatnich, gdyż zapewnia im kilka mandatów, ustąpionych dobrowolnie przez konserwatystów. Okręgi poznańskie nie są jeszcze obsadzone ostatecznie. Zdaje się niewątpliwem ustąpienie kilku z dotychczasowych posłów. Ma ustąpić Dziembowski, skompromitowany w sprawie rydzyńskiej, nie będzie kandydował Trzciński (z okręgu Krotoszyn-Koźmin).

W Prusach Zachodnich, gdzie wobec słabości żywiołu polskiego zachodzi mniejsze zróżniczkowanie polityczne, również ulegną zmianie osoby kandydatów w pewnych okręgach. Nie będzie już kandydował wydawca ogromnie rozpowszechnionej „Gazety Grudziądzkiej“, Kulerski, w jego ślady idzie Brejski, wydawca „Gazety Toruńskiej“ i „Wiarusa Polskiego“.

Należy zaznaczyć, że tak w Poznańskiem, jak i w Prusach Zachodnich praca przedwyborcza po stronie polskiej idzie dość ospale, tak, że, pod względem organizacyi przyszłych wyborów, Polaków prawie wszędzie ubiegli Niemcy. Stawiają oni zwykle kandydatów kompromisowych o kierunku hakatystycznym pod hasłem walki z polskością i Polakami. Natomiast na Górnym Śląsku już od kilku miesięcy wre walka przygotowawcza do wyborów, odbywają się dziesiątki wieców i zebrań polskich i wszystkie niemal okręgi już są obsadzone, choć w osobach kandydatów nie wykluczone są zmiany. Obok obozu polsko-klerykalnego i socyalistycznego na Górnym Śląsku żywą działalność rozwijają grupy niemieckie i tu zdążające do wysuwania kompromisowych kandydatur antypolskich, co się zresztą nie wszędzie udaje.

W obozie polskim, przywłaszczającym sobie miano „narodowego“, w gruncie rzeczy zaś klerykalnym, panuje niepodzielnie Napieralski, który tym razem, zdaje się, niema zamiaru wcale kandydować. Opozycya narodowych demokratów, którzy po zdradzie Korfantego i przejściu jego do obozu klerykalno-ugodowego znaleźli się w położeniu bardzo smutnem, jest tak słabą, że nawet nie może pokusić się o przeciwstawienie Korfantemu jakiejś kontrkandydatury. Rozumiejąc, że ta ostatnia nie posiada żadnych szans poważniejszych, narodowi demokraci wycofali się z akcyi przedwyborczej. Większość naturalnie będzie głosowała w okręgu Katowice-Zabrze za Korfantym, mniejszość odgraża się, że poprze kandydata P. P. S. Biniszkiewicza.

W okręgu Bytom-Tarnowskie-góry, staje jeden z redaktorów „Katolika“ — Dombek; w okręgu Gliwice-Lubliniec — ks. Jankowski, który przy poprzednich wyborach zwyciężył kandydata centrowców i „miszmaszu“ niemieckiego, ks. Chrząszcza; w okręgu Wielkie Strzelce-Koźle będzie kandydował prawdopodobnie dr. Hanke; w Opolskiem ks. Brandys; w pszczyńsko-rybnickiem — ks. Wajda, choć ten ma chęć usunięcia się od walki wyborczej; w Raciborzu — ks. Banaś.

Tym razem obóz polski pokusi się o zdobycie nowego okręgu kluczborsko-oleskiego, który dotych czas wysyłał do parlamentu Rzeszy centrowca. Staje tam ks. Kuczka. Jest jeszcze jeden okręg, w którym zwycięstwo Polaka byłoby dość łatwe, gdyby centrowcy postawili tam innego kandydata; jest to okręg prudnicki. Dotychczas okręg ten reprezentował chłop polski, Strzeda, należący jednak w parlamencie nie do „Koła Polskiego“, lecz do frakcyi centrowej.

Na Mazowszu pruskiem występuje z własnym kandydatem „mazurska partya ludowa“, ale wybór jego jest prawie wykluczony. Zbyt długo te wschodnio-pruskie akcye polskie były zapominane przez sklerylizowane społeczeństwo poznańskie, czujące niechęć do ich protestanckiej ludności polskiej. W każdym razie nawet sam wzrost głosów polskich, oddanych na kandydata „mazurskiej partyi ludowej“, byłby zjawiskiem dodatniem i rokującem poważniejsze zdobycze w przyszłości.

O dalszym rozwoju akcyi przedwyborczej w polskich dzielnicach Prus nieomieszkam poinformować czytelników „Życia“ w następnych artykułach.

SAV.

PRACA PARTYJNA WŚRÓD SPOŁECZEŃSTWA.

Warszawa.

Jeżeli teraz dokoła pracy partyjnej niema tego entuzyazmu, który otaczał ją w latach rewolucyjnych 1904—1906, to winną temu jest nie tylko reakcya. Intelligencya, która była materyałem dla więzień i szubienic, po porażce musiała poddać rewizyi dotychczasowe ideały i sposoby realizacyi ideałów. Jeżeli krytykuje dawne formy walki, nie znaczy to, że się walki wyrzeka; z intelligencyą, która za siebie chce myśleć sama i sama dźwigać odpowiedzialność dziejową, nie składając jej na komitety centralne i lokalne, nie załatwi się nikt, ogłaszając ją w czambuł za burżujską, lub reakcyjną.

Trudno określić, która z przyczyn spowodowała, że rewolucya nie dała wyników oczekiwanych. Kwestya to zbyt długa i zawiła i każdy z nas da na nią inną odpowiedź, żadna jednak całokształtu przyczyn nie wyczerpie. Wbrew innym tłómaczeniom, uważalibyśmy brak czynników ideowych za przyczynę klęski. Powołując lud do walki, zanadto go przynęcano podwyżką zarobkową. Tymczasem człowiek z ludu chętniej da się porąbać za Matkę Boską Częstochowską, niż za 50 kopiejek podwyżki dziennie. Kiedy starano się do niego demagogicznie trafić przez jego kieszeń, łatwiej było trafić przez jego żywiołowy entuzyazm dla spraw ludz-

kich i boskich. Gdyby sprawa jego wyzwolenia nie została zracyonalizowana, podana nie w człowieczej formie jego rozsądkowi, lecz w boskiej formie jego wierze, ruszyłyby się zwarte tłumy. Entuzyazm można wzbudzić tylko wtedy, kiedy się jednostkę wydźwignie poza obręb jej szarych, codziennych spraw. Tresowane i tchórzliwe bydlę człowiecze odzwyczaiło się od spraw wielkich i krwawych. Czyż popchnie je do nich tylko chęć polepszenia bytu? Albo abstrakcyjne hasło „praw człowieka i obywatela", odwołujące się do rozumu? Trzeba pokazać coś większego i świetniejszego, a zarazem tak prostego i konkretnego, by mogło zadrgać uczucie, zbliżone do uczucia religijnego. Wtedy byłyby poszły tłumy. Lecz tych iskier nie miała zracyonalizowana intelligencya.

Jakąkolwiek była ta przyczyna, a raczej były te przyczyny, oczekiwania zawiodły. Ruch rewolucyjny, który stanowczo nie był bezowocnym i obudził ludzi w zadrzemanem stadzie, nie przyniósł tego, czego się po nim spodziewano. Krytykowano taktykę, programy, przywódców i szeregowców. O ile dawniej młodzież i intelligencya rzucała zakłady i posady nieraz intratne, garnąc się do partyi, wrąc żądzą wyrzeczenia się siebie, poddania siebie wielkiej całości, uświęcenia siebie należeniem do ruchu, choćby kosztem podeptania własnego rozwoju i twórczości, o tyle teraz wyraz „partyjnik" w sferach intelligentnych jest nieomal synonimem człowieka ciasnej głowy, gruboskórnego, nietwórczego fanatyka. Ciężkie warunki pracy partyjnej zmuszają istotnie ludzi pracujących w tej sferze do ofiary najcięższej: ofiary z własnego intellektu. Zasada wojenna, która, jako taka, zmusza do rozbratu z etyką w tem subtelniejszem, wyższem znaczeniu, w jakiem ją pojmują lepsze jednostki, każe ponieść drugą ofiarę: z tej wyrobionej w sobie etyki, którą należy częstokroć zastąpić zasadą maksymalnej korzyści. Dla ujednolicenia pracy, każdy agitator ma być gramofonem uchwał rad i zjazdów — nie może być inaczej, bo organizacya musi iść w jednym kierunku. Im bardziej wzrasta organizacya, tem bardziej zanikają jednostki, które muszą się wyrzec swej twórczości indywidualnej. Organizacya przestaje być zawiązkiem przyszłości, zrealizowanem ciałem lepszego bytu. Albowiem ustrój nowy nie wciela się w abstrakcyjnych formach prawa i organizacyi pracy, lecz w żywej jakości jednostki. Nie udoskonalenie techniki i sprawiedliwszy podział dóbr, lecz wytworzenie doskonałych jednostek jest celem ustroju przyszłego. Tymczasem sprawa przedstawia się tak, że dąży się do wytworzenia jednostek twórczych i pięknych w przyszłości przez niszczenie ich i zabijanie w nich twórczości w teraźniejszości. Jest to sprzeczność, którą usunąć bardzo trudno w tych warunkach, jakie mamy obecnie pod zaborem rosyjskim. Praca rewolucyjna jawna jest niemożliwa. A praca podziemna czyni z agitatora, lub bojowca zwierzynę, tropioną i szczutą, zmusza do częstej zmiany miejsca, do ucieczek, do wiecznego oglądania się. Więc bywają tygodnie bez czystej bielizny, bez dostatecznego pożywienia, bez łóżka na noc. Bywają miesiące bez gazety, broszury, książki. A inne dziedziny życia stają się niedostępne, zostają jedna po drugiej ofiarowane sprawie. Nauka, sztuka, inne sfery działalności społecznej, prócz agitacyi socyalistycznej — wszystko to nie dla partyjnika. Umysł pozbawiony głębszej strawy staje się płytkim, słabnie. Uczucie wiecznie nie może zostawać w napięciu i słowa wciąż w kółko powtarzane, stają się w końcu kliszą wytartą i tracą moc przekonania i świeżość, która tak silnie na ludzi działa. Obniża się cała wartość człowieka nie tylko umysłowa, lecz i moralna, bo partyjnik musi ciągle udawać, ukrywać się, a to wzbudza w nim chroniczną nieufność, wypacza charakter i stosunek do ludzi. Konspiracya jest ciężką i niepożądaną koniecznością, za którą odpowiedzialność dźwigają rządy tyrańskie. Lecz w takich warunkach jednostka pracująca traci wszystkie wysokie, lepsze cechy, które ze sobą do roboty wniosła. Była ideowcem i miłośnikiem ludzi, teraz często musi być dyplomatą i żołnierzem — które to stanowiska wykluczają wszelkie „sentymenty". A przyszły ustrój może wytworzyć jedność między ludźmi jedynie dzięki tym „sentymentom" i pożądanem byłoby oczyszczenie partyi socyalistycznych z tych chwastów, które wyznają, że socyalizm jest jedynie kwestyą robotniczej kieszeni i wierzą, że walka między ludźmi nigdy ustać nie może, bo w nich samych grają wszelkie wstrętne instynkty i narowy burżuazyjne.

Tak więc, praca partyjna a twórczość i doskonałość jednostek wykluczają się wzajemnie. Bowiem wszelka realizacya połączona jest zawsze z częściowym kompromisem i zawsze też odbywa się częściowo, więc wygląda koszlawo. A że z jednej strony nowy ustrój może się oprzeć jedynie na tych udoskonalonych i twórczych jednostkach, z drugiej strony warunki nie pozwalają zaniechać pracy podziemnej, pożądanem byłoby ograniczenie jej do możliwego minimum.

Podtrzymywanie całej organizacyi licznej i obszernej w czasach, kiedy nie przewiduje się prędkiego wybuchu, jest trwonieniem sił. Atoli zorganizowany i posiadający tradycye rewolucyjne ośrodek jest konieczny, by w razie wybuchu było dowództwo, było jądro, dokoła którego mogą się skupić żywioły rewolucyi. Ten ośrodek trzeba podtrzymywać. Lecz trzeba strzedz się odrywania zbyt wielkiej ilości ludzi od społeczeństwa. Człowiek, który traci kontakt ze społeczeństwem, może się przeliczyć w chwilach najważniejszych, może cały ruch zbakierować, lub rozdmuchać w próżni. Praca, ciężkie ofiary ze siebie są podjęte dla społeczeństwa. Trzeba je przetworzyć. To, co się przetwarza, trzeba znać i kochać. Niema nic szkodliwszego, nad te zbyt „klasowe" kierunki, które cały dorobek kulturalny swego społeczeństwa zbywają taniem określeniem „burżuazyjny" i chcą wytworzyć „klasową" sztukę, naukę etc., jakgdyby nie po to pracowały wieki, aby z tej pracy mógł korzystać również chłop i robotnik polski. Czemuż tylko lud ma być nędzarzem bez żadnego dziedzictwa, skoro wszystkie warstwy dziedzictwo przyjęły i umiały wykorzystać?

Oderwany od społeczeństwa partyjnik przestaje brać udział w pracy produkcyjnej. To już jest zupełna deprawacya. Praca bezpośrednio produkcyjna jest czemś zdrowem, pożądanem, moralnem. Wszak przyszły ustrój społeczeństwa dąży do tego, aby każda jednostka była produkcyjną, brała udział w wytwarzaniu bogactw. I cokolwiekby mówiono, jeżeli agitacya ma być wytwarzaniem energii, to jednak wytwarzanie widomego, materyalnego symbolu energii, skondensowanie pracy w skutku re-

alnym, doraźnym jest czemś jakby rzeczywistszem, skuteczniejszem. Stąd tak ogromne znaczenie moralne pracy fizycznej, przez którą jedynie może odrodzić się intelligencya. Chociaż tak wiele mówi się o podziale pracy, jednostka przyszłości nie zgodzi się na zubożanie siebie dla powiększenia sprawności całego mechanizmu. A teraz im mniej ludzi się oderwie od pracy produkcyjnej, tem lepiej dla społeczeństwa.

Im bezwładniejszem, im bardziej martwem jest społeczeństwo, tem więcej ludzi musi iść w podziemia i ofiarowywać się za nie. Bunt i protest musi być w całem społeczeństwie. Każda jednostka buntownicza i twórcza, którąby dawniej poszła w podziemia, powinna wykonać swoją część niszczenia i oporu wewnątrz społeczeństwa. Gdyby każdy obywatel nie płaszczył się tak tchórzliwie przed władzą, człowiek podziemia nie musiałby aż śmiercią protestować. Biorąc udział w pracach społeczeństwa, w jego produkcyi i twórczości, ma każdy obywatel stawiać opór jawny. Trzeba mieć odwagę przekonań, odwagę bojkotu, odwagę konsekwencyi. Opór i jawny protest wielu jednostek, chociażby w wypadkach łatwiejszych, nie pociągających za sobą ciężkiej zemsty władz carskich, ułatwi zadanie podziemiu. Tchórzliwość członka społeczeństwa przedłuża trwanie wielu instytucyi i nadużyć. Agitacya nie powinna być niczyją specyalnością; trzeba odrzucić obawę wymawiania pewnych słów, dyskutowania o pewnych kwestyach nawet w ściślejszem gronie. W każdej chwili przez każdego powinna być uprawiana agitacya. To, co się zamknęło w podziemiu, powinno się rozlać po całem społeczeństwie za pośrednictwem partyjników, którzy nanowo, zmuszeni przez warunki, weszli w skład społeczeństwa.

Usunie się przez to bolączka, zwana „utrzymywaniem partyjnem". To, co się staje środkiem do życia człowieka, pierwej czy później zamąca jego ideowość. Trzeba brać udział w pracy produkcyjnej i nie robić specyalności z idei, nie zagradzać sobie nią dostępu do szerokiego i twórczego życia. Jakże stanie bogactwo przyszłości, jeżeli wszyscy zubożać się będziemy? Czy potrafimy uchwycić rytm dziejowy, wypadłszy z rytmu społeczeństwa? Każdy z nas ma być nie rewolucyonistą-zawodowcem, lecz rewolucyonistą-obywatelem i wewnątrz społeczeństwa każdym swym czynem dokonywać stopniowego przewrotu. A gdy przyjdzie moment wybuchu — stanąć do apelu. Im więcej będzie rewolucyonistów wewnątrz społeczeństwa, tem mniej ich będzie potrzeba w podziemiu. Bezczynni i słabi ponoszą odpowiedzialność za te nienormalne, wypaczone, ofiarne istnienia partyjne. Istnienie partyi podziemnej jest nieszczęściem, które zniesie może niedaleka przyszłość. I wtedy twórczość nie będzie stała zabijaniem twórczości.

RES.

ŚLADAMI STOŁYPINA.

Kokowcew wyrzekł nareszcie swoje słowo, „płynące z głębi rosyjskiego serca". Czekała na nie św. Rosya zarówno czarnosecinnego, jak liberalnego obrządku — czekała wszelka naiwność, jak i wszelka ugoda wśród „inorodców", panowaniem rosyjskiem uszczęśliwionych. — Nacyonalistyczna bestya, szaty wdowie po „opatrznościowym" Stołypinie wdziawszy, w żalu nieutulona, przez chwilę nie miała pewności, czy nowy premier stanie się jej nowym oblubieńcem i za sowitą gotówkę wdzięki jej na targu „dumskim" zakupi. Bestya niepokoiła się: po śmierci Stołypina, wbrew wszelkim tradycyom, wbrew przepisom politycznego kalendarza starego stylu — nie nastąpił pogrom żydowski. Sarkano, że to intryga kokowcewowska udaremniła te przyjemne i pożyteczne zabawy „szerokiej kultury" czarnosiecinnej. Potem znowu złe wrażenie zrobiła rozmowa Kokowcewa z korespondentem „Temps" paryskiego, od którego Europa dowiedziała się, że premier jest „narodowcem", ale nie „nacyonalistą". Humoru bestyi nie poprawiło nagłe odezwanie się Wittego, który leżał był w jaskini, w przymusowej drzemce i ssał łapę, a teraz wyjrzał na świat boży i zaczął bardzo głośno mruczeć. I — o zgrozo! — temu oto Wittemu kazano, by, zamiast ssać łapę, pomagał rządowi, jako prezes komitetu finansowego, — ssać wiernych tegoż rządu poddanych. Bestya nacyonalistyczna poważnie zaniepokoiła się: żali to początki kokowcewowskiej „wiosny", wystrzałem „Mordki Bogrowa" przywołanej, podobnie, jak niegdyś, bomba Sazonowa „wiosnę" Swiatopołk-Mirskiego nad kaskadą tyraństwa rozgłośnie proklamowała?!

Bestya, która tak długo jadła z ręki Stołypina, zlękła się, czy nagle nie ujrzy w ręku Kokowcewa — bata. Wprawdzie Kokowcew swego czasu dziękował Bogu, że w Rosyi niema parlamentu, ale — „słaby jest człowiek rosyjski" — może go żydy lub finlandczyki przekupiły i na parlamentaryzm nawróciły?! Więc zawył na trwogę Mieńszykow w „Nowoje Wremia", a brat Stołypina odszczeknął do wtóru, że wszystkich „Mordków" wytępić należy.

W Rosyi niema parlamentu, ale bestya, zaniepokojona, powiedziała: jeżeli Kokowcew nas zdradzi, to my zrobimy mu taki parlament, że nas popamięta. I natychmiast sojusz stanął na śmierć i życie między październikową czarną seciną a wszelką inną. Bestya wyszczerzyła kły i powiedziała Kokowcewowi: spróbuj!...

Zaniepokojenie czarnosiecinnej bestyi wywołało żywsze, pełne radosnej nadziei bicie serca u białorunnych owiec liberalnych. One by tak chętnie powitały w Kokowcewie dobrego pasterza, tak by się skupiły koło niego, by bestyę wziąć na postronek i choć trochę ją pohamować! Zaczęło się tedy wróżenie optymistyczne, że Kokowcew „bądź co bądź" nie będzie Stołypinem, że choć jest konser-

watystą, ale ma liberalne instynkty, że będzie szanował prawo, że nie będzie chciał uzależnić się od nacyonalistycznej tyranii, że mu będzie chodziło głównie o przemysł, handel i finanse, nie zaś o represye, że będzie mniej dbał o wielką politykę, a więcej o „pracę organiczną“ itd. itd. Liberały wszelakie z przodu i z tyłu podchodziły do Kokowcewa, by go prześwietlić rentgenowskimi promieniami i dowiedzieć się, co on zacz jest. I tłukła się po prasie wieść nadziejna, że białorunne jagnięta kadeckie mogą śmielej patrzeć w przyszłość.

I „innorodcy“, — nie oczywiście ci nieprzejednani i dumni, ale ci grzeczni i „dumscy“ — też mieli niejaką otuchę. Kokowcewa ogłoszono za przeciwnika oderwania Chełmszczyzny, zresztą on sam oświadczył, że „można pogadać“...

Kokowcew dawał się oglądać z przodu i z tyłu, prześwietlać i wymacywać, pozwalał snuć o sobie takie, lub owakie horoskopy. Nie dlatego, jak przypuszczano, że szuka dopiero oryentacyi, że pragnie grunt wybadać i odpowiednio przygotować. Ale naprzód dlatego, że, jako finansista, jest próżny, gładki, obłudny, że lubi, aby mu pochlebiano, aby odgadywano, co on myśli i zamierza, no i lubi, żeby go podejrzewano o feblik liberalny. Ważniejszy był jednak inny motyw: „dzięki Bogu, w Rosyi niema parlamentu“, a Kokowcew, gdyby odrazu proklamował czarnosecinną politykę, stał by się tylko pionkiem w rękach czarnosecinnej większości rosyjskiego — z przeproszeniem — parlamentu. Kokowcew chciał zaznaczyć, że nie jest ministrem z łaski dumskiej większości. A gdy to zaznaczył, gdy „samodzielność“ swą zamanifestował, mógł już maskę zrzucić i „z głębi rosyjskiego serca“ wykrzyknąć: Nie bójcie się, panowie, jestem czarnosecińcem, jak wy.

Reakcya rosyjska, niepokojąc się z powodu Kokowcewa, nie doceniała własnej siły, trwożyła się niepotrzebnie. Kokowcew musiał ją pouczyć, że jest silniejszą, niż jej się wydaje, że jest *systemem*, od którego carat nie odstąpi. „Nie zdążyliśmy jeszcze — mówił Kokowcew — przywyknąć do poczucia konieczności, konsekwencyi i następczości w naszych czynach. Zbyt wiele wagi przywiązujemy do osobistości, mniemając, że każdy następca powinien koniecznie znajdować się w przeciwieństwie, lub przynajmniej w niezgodzie z poprzednikiem... Na szczęście, w kwestyach, poruszających żywotne interesy państwowe,... w kwestyach, od których zależy istotna całość i jedność państwa, oraz urzeczywistnienie żywotnych potrzeb narodu rosyjskiego, nie może być różnic w poglądach, nie może być wahań następcy w stosunku do poprzednika“.

Kokowcew ma słuszność: pozbawmy tylko powyższe zdania ozdóbek frazeologicznych, a ukaże nam się naga i wyraźna prawda. W Rosyi rządzi samodzierżawna biurokracya, pod firmą samodzierżawnego cara, dopuszczając do spółki reakcyjne żywioły klas posiadających „iście rosyjskich“. W zasadach tego systemu nie może być wahań, ani sprzeczności. Kokowcew jest nietylko następcą Stołypina, ale jego spadkobiercą.

Wystrzał Bogrowa wywołał niemałe zamieszanie w sferach rządowych. Ale zamach tego rodzaju wogóle tylko w najszczęśliwszych warunkach, na tle groźnego ruchu rewolucyjnego, przeżycia się dawnego systemu itp., może wywołać jakiś zwrot w polityce, jakieś skutki bezpośrednie. W takich warunkach właśnie zrodziła się „wiosna“ Światopołk-Mirskiego. Dziś Rosya nie prowadzi nieszczęśliwej wojny, ruch rewolucyjny jest słaby, a system stołypinowski cieszy się uznaniem nie tylko biurokracyi, lecz i reakcyjnych warstw społeczeństwa rosyjskiego. Na dobitkę wystrzał Bogrowa nie dał nawet pozorów siły ruchowi rewolucyjnemu; natomiast ujawnił siłę — prowokacyi. Podczas gdy dawniejsze zamachy stawiały na porządku dziennym kwestyę rewolucyi, to zamach Bogrowa, zmącony fatalnie „ochrannym“ kałem, wysunął na czoło ohydną sprawę prowokacyi. A to systemu rządowego zgoła nie podkopie.

Pisaliśmy w „Życiu“, że „od fińskich chłodnych skał do płomienistej Kolchidy“ nic się nie zmieni w systemie rządowo-czarnosecinnym. Właśnie debata o sprawach finlandzkich dała sposobność Kokowcewowi do odsłonięcia swego oblicza, do oznajmienia radośnie wyjącym nacyonalistom i struchlałym liberałom, że, co jego poprzednik zrobił, dobrze zrobił i że Kokowcew tą samą nacyonalistyczną drogą pójdzie. Nacyonalistyczna bestya żerem „kresowym“ tuczy się i nadal tuczyć się będzie. Na „fińskich chłodnych skałach“ rozbił się wątły statek suchotniczych złudzeń liberalnych.

W sprawie Chełmszczyzny Kokowcew nie omieszka także wyrzec „z głębi rosyjskiego serca płynącego słowa“...

POEZYE.

BOLESŁAW ZAHORSKI.

Z TATR.

Zamglona tafli górskiego jeziora...

Zamglona tafli górskiego jeziora,
tak jeszcze jasna i przeźrocza wczora...
O, nocy!
O, dniu, spowity czarnym chmur oprzędem!...
O, smutku turnic, co stanęły rzędem,
by płakać razem... O, upiorna, chora
tęsknico serca... Czyż nie przyszła pora
zniknąć twej mocy?!...

— — — — — — — — — — — — —

Zamglona tafli górskiego jeziora
i w dniu pochmurnym — i w otchłannej nocy...

Dziś dziwnie smutne twych jezior milczenie
o, Tatry dumne, w żałobie zaklęte..,
Tęsknico! —
O, smutku duchów, pnących się na szczyty,
gdzie legend jasnych promienieją myty,
— gdy bezwład nocy mężne serca tłoczy
— pokaż swe lico!
Nie kryj widoku mgieł chmurną zasłoną...
Patrz!! Smreków dumnych czarny rząd
[w milczeniu
Hen, wzwyż — na szczyty — po zwycięstwo
[kroczy!!...

— — — — — — — — — — — — —

Ty złudo wieczna, co kłamiesz natchnieniu!...

— — — — — — — — — — — — —

Tak jeszcze jasna i przeźrocza wczora
Zamglona tafli górskiego jeziora...

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.



trach?

— O, tak, — Strach, wstyd — to albo cnoty bohaterów, albo ohydne właściwości najpaskudniejszej hołoty. Bezwstyd, cynizm — to może być wspaniałe, albo plugawe. Strach przed nieskończonością — przed niewiadomem — przed spełnieniem zbrodni — taki strach jest święty — i nie zna go ten, co się podkrada do cudzego domu i boi się kija, albo rewolweru. Wyrazy ludzkie wszystko zbrzydziły —

— Myślałby kto, że pan chciał już jaką zbrodnię popełnić — rzekła Czesława żartobliwie.

— Ja? — wyjąkał Julek. — Nie. Zbrodni nie.

Umilkł. Coś go ścisnęło za gardło — sam nie wiedział, czemu.

Słońce już zaszło. Powiał chłód z gąszczy leśnej.

— Pani mówiła o przyjaźni czystych dusz — mówił dalej zmienionym głosem, zapominając w tej chwili o wszystkiem, co mogłoby hamować wylew myśli, cisnących mu się do mózgu niepowstrzymanie. — Mówiła pani też, że tacy ludzie nie mieliby do ukrywania przed sobą haniebnych czynów. Dobrze, ja wierzę, że tacy istnieją. I ja znienawidziłem niektóre rzeczy literatury rosyjskiej, gdzie za „głębię“ uważa się wynalezienie w każdym człowieku „świni“, albo i świni pijanej. Ja chcę mocy, wielkości, ach, niech będą straszne, podłe charaktery — ale niech nie ubiera się tego w czułostkowość, niech się nie okrywa gnojówek ludzkich płaszczem chrześcijanizmu, plugawego chrześcijanizmu, żebraczego litowania się nad robactwem, rozdeptywanem przez silnych. Ja wiem, że w Dostojewskim jest geniusz i bezmiar uczucia, że są w nim myśli podobne do idei Słowackiego, Nietschego — ach — ale czytałem Zarathustrę, czytałem Balzaka — tam jest głębia wolnego, prawdziwego życia — tam żyje człowiek, którego krew jest gorąca, tak, że dymi naprawdę na nożach zbrodniarzy — i nikt nie nazywa zbrodni inaczej, niż zbrodnią. Tylko sentymentalne burżujstwo wymyśliło tę ohydną cześć dla każdej istoty ludzkiej, która cierpi — tylko chęć wykłamywania się z wszelkich odpowiedzialności wydaje to całe błotko pobłażliwości współczesnej dla siebie i dla innych. — Jeżeli kto musi iść po trupach —

Urwał nagle.

— Ja tego wszystkiego nie mam prawa mówić — szepnął prawie z rozpaczą.

— Dlaczego? — spytała cicho Czesława.

— Dlaczego? — bo cóż — czemże jestem?

W lesie było już zupełnie ciemno. Julek drżał.

— A znam takich, którzy mają prawo — słyszałem ich, widziałem. Jakaż to niepojęta r z e c z i m o c. Co to jest? W czem jest siła?

— Może w tem, żeby być zawsze w zgodzie z sobą samym.

— To znaczy: być wolnym. Ale jakże to możliwe? Czy trzeba się koniecznie obijać o łzy, o krew, o trupy? Kto ma do tego prawo? Czy istnieją jakie prawa? Kto raz odrzucił religię... Krzywda ludzka to rzecz, której c z ł o w i e k nie przeżyje. —

— Małoby ludzi zostało, gdyby odliczyć krzywdzących.

— Może nikogo...

— Pan zna „Zbrodnię i karę“?

— Czy znam! Chodziłem, jak po ciężkiej chorobie, przeczytawszy to... Ale dziś już mnie to nie zachwyca. Czy Raskolnikow ukorzył się przed własnym nakazem wewnętrznym? Nie. Przed społeczeństwem — przed sędzią śledczym, policyą!... Czuł ohydę zbrodni. To genialne. Ale nie tylko wstręt do samego siebie na niego podziałał... Na „zgniłym“ zachodzie to dawno wiedzą, że nie wolno mordować... To dziki, barbarzyński problemat. Cywilizacya ludzi wyższego rzędu się z tem załatwiła. Miała pani racyę, mówiąc, że tam przeszło się już do porządku nad wielu sprawami, które zajmują umysły rosyjskie. I na tym samym „zgniłym zachodzie“ rozumieją, że morderstwa rewolucyi nie są morderstwami — choć „liberałowie“ burżuazyi twierdzą inaczej. Cywilizacyę wychowali rycerze i twórcy, ludzie odważni i silni, ludzie czynu, wojny, krwi, myśli i wyobraźni, ludzie drapieżni, choć o subtelnych nerwach. — Krzywda! wszystko jest względne... Straszno jest czasem żyć! „Krzywda“! obrzydliwy, niewolniczy wyraz! — Silni go nie znają. Silny czuje wstręt do krzywdzenia słabych. Zna tylko walkę. Silnego nikt nie skrzywdzi. Można go tylko zwyciężyć, zabić, przygnieść do ziemi.

— Można krzywdzić mimowoli...

— O tak! I to jest właśnie tragedyą siły — tragedyą ludzi czujących — bo tylko słabi i nędzni nie czują — zabijają nędznie, twardo, cynicznie, bo są puści... Cynizm to tania rzecz — a jednak bez cynizmu niema ani siły, ani twórczości, ani sztuki... Hamlet był świadomą mocą czującego człowieka i stąd instynkty motłochu dopatrzyły w nim słabości... Jakże? Zastanawiał się, nie mógł się zdecydować, czy zabić człowieka!! Takie głupstwo dla bezwiednie zbrodniczych instynktów „uczciwych“ śmieci ludzkich! Dla nich są właśnie prawa pisane — tych tylko się boją — siebie — nigdy! Prawdziwi tchórze! Jakże drżą, kiedy chodzi o czyn prawdziwej mocy? Jakże się zamykały okna Warszawy, gdy dźwięczał w 31-ym roku okrzyk powstania na ulicach! Ach siła! — Siła była w Warszawie Kilińskiego! Nie bano się wtedy krwi — bo znano cenę wolności — nie wszyscy niestety — nie wszyscy — Kościuszko — nie! Ten bał się rewolucyi ludowej... ale nie był Hamletem — o nie! Nie zabił bez wyrzutów sumienia szlacheckiego Poloniusza, ukrywającego swą godność, tchórzostwo i egoizm za tapetą przywilejów!.. Kościuszko nie pomyślał nawet o tem... Eh, rozpacz mówić...

— Pierwszy raz słyszę, żeby kto tak mówił

o Kościuszce — rzekła ze wzruszeniem Czesława.

— Pani uwielbia tę białą świętość?... Pani! Ja kocham tego człowieka, ale nienawidzę go jeszcze bardziej. Mochnacki pisał, że Kościuszko zgubił Polskę...

— Pisał to dla celów agitacyjnych.

— Nie. Z głębi przekonania. To nie jest myśl popularna, nawet dzisiaj.

— Kościuszko uratował honor narodu.

— Ależ tak. I za to mu chwała na wieczne czasy! Ale nam trzeba było jakiegoś Attyli, Napoleona, nie białego, nieskalanego rycerza. Słyszałem wczoraj, jak dowodził człowiek, którego pokochałem od razu, że dość mamy tych białych polskich sentymentalizmów. — Doprawdy, pani, jesteśmy kalekami. Nasze krwawe instynkty, nasze porywy wojenne wypaczają się, nie mamy naszego wojska. — Stajemy się jagniętami, zaczynamy nawet myśleć i czuć, jak owce skazane na pożarcie. Każdemu słabemu sprzyjamy zawsze... To symptomatyczne, bo to nie z rycerskich chęci silnego... O nie... Ja sam... tak — ja sam to dziedzictwo na sobie odczuwam... i trudno mi się z tej słabości wydobyć. Otacza nas niezmierna pobłażliwość dla tchórzostwa i obłudnego idealizmu — więcej niż pobłażliwość — zachęta — nakaz! I to wpajają nam od dzieciństwa. Wstrętne, wstrętne!

— Ja wierzę, że wydobędziemy się z tych moczarów.

— Musimy się wydobyć. To przecież leży w naszej mocy. A wiem, że wielu jest takich, którzy podobnie myślą — choć nawet nie wszyscy rewolucyoniści czują tę żądzę czynu czysto rewolucyjnego.

I Julek opowiedział jej główne momenty rozmów wczorajszych. A zrozumiawszy, że sprawy te nie były jej obce, opowiedział wszystko z taką swobodą, że Czesława poznała, z określeń Julka, ludzi, których sama znała doskonale... Przyznała się, że siedzi tu na wsi nawet dla pewnej misyi, w której Julek obiecał jej pomódz. Rozmowa przyjęła chazakter otwartej przyjaźni. Uczuli się blizkimi sobie, wynajdywali podobieństwa uczuć, odczuć, aż do drobiazgów. Czesława zapytała, naprzykład o coś Julka, a on nie zaraz odpowiedział, tylko jakby po chwili dopiero usłyszał to pytanie i zaraz to jej wyznał. Czesława z radością już wcale nieukrywaną powiedziała, że i jej się to bardzo często zdarza. Zamyśli się, ale słyszy wszystko i nie zaraz odpowie na pytanie. Rozmawiali o swoich marzeniach, o tem nawet, jak dzień spędzają, co lubią, kiedy się kładą spać, co im się śni. A najważniejszem podobieństwem było takie. Julek opowiadał, że nigdy nie odczuwa jakiegoś wrażenia odrazu, ale najczęściej dopiero po pewnej chwili, albo bardzo długo później. Czasem wcale nawet nie wie, że coś odczuwa, dopiero to kiedyś nagle wybucha i wtedy już nigdy nie wychodzi z pamięci.

— A to możemy sobie ręce podać! — zawołała Czesława — bo i ja tak samo! Jakiś czas nawet myślałam, że jestem zupełnie nieczuła.

— A to podajmy sobie ręce! — odpowiedział Julek.

Mówiąc to, zbladł z wrażenia, wszystko w nim jakby zlodowaciało, gdy podawał jej rękę. Starał się serdecznemu uściskowi dłoni nadać charakter jak najobjektywniejszy, ale serce mu dziwnie zamarło w piersi, gdy przyszło mu nagle na myśl, żeby tę miękką i silną rękę Czesławy ucałować. Nie uczynił tego jednak i wydało mu się, że ten uścisk dłoni był poprostu partyjną przyjaźnią towarzyszki o podobnych ideach.

Tymczasem Tecia, która ani jednem słowem nie przerywała rozmowy, odezwała się nieśmiało.

— Możebyśmy zawrócili, bo jesteśmy, zdaje się już niedaleko tartaków. Spóźnimy się na kolacyę. Tak ciemno, że ledwie was widzę. Nie wiem, gdzie się tamci podzieli, trzeba ich zawołać.

Rzeczywiście Julek widział obok siebie tylko bladawy cień twarzy Czesławy, a szara jej suknia zlewała się zupełnie z mrokiem. Teci sukienka świeciła dalej jak puch przed drzewami lasu.

— A dobrze — odpowiedziała Teci Czesława. Wołajmy. — Maro! Maro!

(C. d. n.)

BOLESŁAW LUBICZ.

LISTY Z ZESŁANIA.

(Ciąg dalszy).

Wolimy już nie wspominać o tym, jak mylną, lub stronniczą bywa nieraz ocena stopnia intelligencyi i przekonań politycznych przez p. p. naczelników powiatu — i jak długo trwa t. zw. „pierepiska“ pomiędzy kancelaryą gubernatora a peryferyą, zanim pozwolenie na wyjazd bywa wydane. A tymczasem przecie zesłańcy żyć muszą, przyczem osiedleńcy i byli katorżnicy, (z których w przeważnej części składa się wspomniana wyżej barguzińska kolonia), nie otrzymują nawet tego „miedzianego“ „piątaka“, wypłacanego w 1770 r. w Bolszerucku Bieniowskiemu!*)

Zaradzić złemu mogłaby w tym wypadku, jak w tylu innych w Rosyi, wszechsilna w tym państwie łapówka — cóż, gdy umierający nieraz z głodu zesłańcy nie mogą się na nią zdobyć. Zdarza się prawda, że składa ją sam pracodawca, zainteresowany, by mieć intelligentnego i uczciwego pracownika i wtedy żywiej obracają się zardzewiałe koła i śruby biurokratycznej maszyny, ekspresem lecą „bumagi“ (t. j. papiery) z kancelaryi powiatu do kancelaryi gubernatora i „małointieligientnyj“, „spokojnyj“ i nie—„niebezpieczny“ osiedleniec zostaje oddany pod opiekę „prawomyślnego“ i niepodejrzanego o żadne wywrotowe sympatye — pracodawcy.

*) Oto co mówi o tem Józef Kopeć: — „Beniowski w Bolszerucku z czterema innymi stawiony był przed komendanta, który był w randze majora i nazywał się Niłof, oświadczył on im, iż to miejsce jest ich przeznaczeniem i siedliskiem; gaża dzienna była jeden piątak na osobę na wszystkie potrzeby żywności i odzienia, a reszty dorabiać się pracą rąk własnych dozwolono“ (J. Kopeć: „Pamiętnik“.)

Nie sądzimy jednak, by w innych, niesyberyjskich miejscowościach działo się pod tym względem lepiej. Oto mamy przed sobą list wygnańca z Jenotajewska, miejscowości, położonej w Astrachańskiej gub., a więc na południu Europejskiej Rosyi, czyli tej strefy zesłania, do której skierowywani są li tylko „administracyjni", pobierający zapomogi od rządu.

„Na prawym, wysokim brzegu Wołgi, wśród piaszczystego stepu, leży małe miasteczko, składające się z kilkunastu dziesiątków drewnianych domów. Mieszkańcy zatrudnieni są po części rybołostwem, po części rolnictwem i chowem bydła stepowego. Rolnictwo nie bardzo im się opłaca. Nas Polaków jest tu niewielu. Obecnie pozostało tylko 8. — Z tych trzech żonatych; — jeden zaś ożenił się tutaj z Rosyanką i przyjął prawosławie. Pracy zarobkowej tu prawie żadnej niema, — piszę prawie żadnej, gdyż czasem zdarza się temu, lub innemu zarobić parę złotych, ale takie chwile nie są częste.

Ja sam przed świętami Wielkanocnemi st. stylu zarobiłem z toporem przez 3 dni — 1 r. 20 kop, po 40 kop. dziennie". Czasami któremu z zesłańców przyśle pieniędzy rodzina, „pomoc ta jednak zazwyczaj jest tak drobna, że nie może wpłynąć poważnie na budżet zesłańca." „Żywot tu pędzimy marny—pisze ten sam zesłaniec w drugim swoim liście z dn. 13 marca 1911 r. — są jednostki szczęśliwsze, którym rodzina przysyła z domu po parę rubli na miesiąc, ja jednak do tych szczęśliwców nie mogę się zaliczyć. Ojciec mój pracuje w fabryce w K..., skąd i ja zostałem wraz z bratem wysłany w 1908 r.: ja 18. letni a on 17 letni; ojciec mój zarabia 9 rb. na tydzień, z czego żyją 4 dzieci, on i matka, to razem 6 osób..."

Pozostają zapomogi rządowe. Zobaczymy, czy mogą one zapewnić jaki taki byt zesłańcom.

„Z chwilą przyjazdu nowego naczelnika powiatu, który poprzednio służył w „ochranie" karmowe*) zmniejszyli o 30 kop. i zaczęli wydawać z opóźnieniem. Karmowych wydają zesłańcom po 8 rb. na miesiąc**), żonom ich po 6 rb., a dzieciom po 2 r. 25 kop. Szlachcie, studentom (akademikom) i wogóle wszystkim uprzywilejowanym po 13 r. 25 k., żonom po 11 r., dzieciom połowę. Dzieciom zesłańców: dziewczynkom, przywyższającym 14 lat i chłopcom — 16 l. pieniędzy policya nie wydaje, motywując to tem, że mogą zarobić na swoje utrzymanie. Pieniędzy na ubranie (przewidzianych w ustawie o osiedleńcach) nie wydają, gdyż wyszedł cyrkularz ministeryum spraw wewnętrznych, który głosi, że tym zesłańcom, którzy mają jakie takie ubranie, lub tym, którym już niewiele pozostaje do ukończenia wyroku — „odiożnych dienieg" „nie połagajet'sia".***)

„Następnie w cyrkularzu jest powiedziano, że tym, którzy mają jakie zarobkowe zajęcie, lub otrzymują zasiłki pieniężne z domu — nie dawać również i „karmowych". To samo tyczy się tych, którzy są do pracy zdolni, a przez lenistwo (!) jedynie nie chcą pracować. Tym ostatnim policya ma wyszukiwać pracę". Czy dały komu z zesłańców politycznych władze policyjne pracę — o tym korespondent nasz nie pisze. Nic o tym nie słyszeliśmy również i od innych zesłańców z innych miejscowości, gdzie przytoczony powyżej cyrkularz — w swej pierwszej części — został już wprowadzony w całej rozciągłości w życie.

„Co do pokarmów, jakie używają zesłańcy — czytamy w dalszym ciągu listu — to zrozumiecie z paru cyfr, jakie tu wam podam. Chleb czarny kosztuje 3 kop. funt, pytlowego wcale tu nie znają, biały pszenny 5 kop. funt, mięso 15 kop. i 16 kop. funt, mleko latem 3 kop. a zimą po 5 kop. butelka trochę większa od naszej 1/2 kwarty; życie najmarniejsze osobliwie prowadzimy ostatnie parę dni przed pierwszym, — czasem bywa że o jednym czarnym chlebie i herbacie"... „Całą zimę i większą połowę jesieni — pisze ten sam zesłaniec (R.), chory na gruźlicę i któremu lekarze kazali pić mleko — nie piłem mleka, bom nie miał możności kupić z tych pieniędzy, które nam wydaje policya po 8 rs. na miesiąc. Z tego odchodzi na mieszkanie i pranie 2 r. 50 kop., a więc pozostaje na cały miesiąc na życie 5 rs. 50 kop., (około 13 kor. 60 h.); — zrozumieć łatwo, że wystarcza to zaledwie, by z głodu nie umrzeć".*) Zrozumiemy i to, że w tych warunkach o leczeniu się chorych na gruźlicę zesłańców (a tych jest we wszystkich miejscach zesłania spory %) — nie może być mowy.

Nie ustające ani na chwilę represye rządu powodują płynącą ze wszystkich miejscowości Rosyi falę zesłańców, która coraz to nowym kontyngentem zasila t. zw. „kolonie" „politycznych". Zamiast tych, którzy kończą swój termin i otrzymują pozwolenie na powrót do kraju — przychodzą nowi. Ponieważ najkrótszy termin kary zesłańca wynosi 2 lata, zwykle zaś waha się pomiędzy 3—10 (nie mówimy tu już o bezterminowych „osiedleńcach" — i o całej masie tych, którzy zostają skazani do zniesienia wszystkich stanów ochronnych) — wysyłanie zaś odbywa się nieustannie; — ponieważ z drugiej strony liczba banitów, zmiejszona w porównaniu do 1905 r., ostatniemi czasy znów znacznie — jak to zresztą stwierdzają gazety rosyjskie — zaczęła się podnosić, — liczebność „kolonii" nie tylko nie słabnie — przeciwnie—wzrasta,— obciążając coraz bardziej budżet państwowy Rosyi i stwarzając coraz to bardziej niezdrowe i anormalne warunki na północnych, południowo — wschodnich i wschodnich kresach rosyjskiego imperium.

Że te stosunki są niezdrowe, świadczy o tym przytoczony powyżej fakt uchylania się władz rosyjskich od wypłacania żołdu zesłańcom, świadczą o tym choćby liczne raporty gubernatorów, wicegubernatorów, isprawników, czy naczelników powiatów, domagające się bądź wzmocnienia kontyngentu sił wojskowych i policyjnych w miejscach zesłania, — bądź — wręcz — proponujące władzom centralnym ni mniej ni więcej, jak zniesienie kary zesłania, jako zagrażającej spokojowi odwiecznie spokojnych kresów Rosyi. O nienormalności i wprost haniebności stosunków świadczą

*) pieniądze wydawane przez władze zesłańcom na życie. List z marca b. r. z Jenotajewska (przyp. aut.)

**) cyfra ta jest b. zmienna i zależna od miejscowości;— waha się ona zazwyczaj od 15 rs. — do 1 r. 50 kop. (przyp. aut.)

***) pieniędzy na ubranie wydawać nie należy.

*) Wszystkie powyżej przytoczone cytaty pochodzą z listów, pisanych z Jenotajewska, datowanych 13 III i 8 V. b. r. (przyp. autor.)

chociażby takie fakty, jak zgłaszanie się do więzienia w Krasnojarsku (w Zach. Syber.) umierających z głodu zesłańców, z prośbą osadzenia ich w więzieniu „gdzie przynajmniej choć czarnego chleba nam dadzą“, lub takie fakty, jak głodowe bunty, wybuchające sporadycznie w rozmaitych miejscach zesłania, uśmierzane następnie krwawo przez wojsko, sądy i szubienice — świadczą o tym wreszcie masowe, nieraz bez żadnej nadziei prawie przedsięwzięte ucieczki, lub samobójstwa, coraz częściej notowane, szczególniej w Syberyi.

Żeby zillustrować rozpaczliwą sytuacyę wygnańców, oraz rozmaite konflikty, jakie pociąga ona nieraz za sobą — opiszemy niektóre fakty, które czerpiemy z listów, pisanych z Turuchańskiego kraju w r. 1909, a jakie się wydarzyły w tej miejscowości w Syberyi.*)

Kraj Turuchanski**) oddawna już stał się w oczach władz -- obok Jakutki — jednym z najulubieńszych miejsc dla zsyłania politycznych przestępców. Znaczna odległość od kolei zabezpieczała przed ewentualnością ucieczki zesłańca. Rosyjscy kupcy, lub zamieszkujący „Turuchankę“ mongolskie plemiona nie nadawali się do ew. agitacyi rewolucyjnej — to też władze mogły się nie obawiać „demoralizującego“ oddziaływania wygnańców na ludność miejscową. Nie wahał się przeto rząd skupić w niektórych, dość odległych zresztą od siebie wsiach po 500 i więcej zesłańców, — w całym zaś kraju nagromadził ilość tych ostatnich przewyższającą niejednokrotnie 50% wszystkich mieszkańców kraju. Nie omieszkano zastosować w całej pełni i rozciągłości wszystkich tajnych, lub jawnych cyrkularzów, mających na celu „obostrzenia i ograniczenia“ — w pierwszym zaś rzędzie wyszukiwano rozmaite preteksty, by nie wydawać, lub przynajmniej zwlekać w miarę możności z wydawaniem należnych zesłańcom pieniędzy. No, i wszystko było dobrze... Ucieczki (dzięki obostrzeniom policyjnym) zdarzały się dość rzadko, „oszczędności“ na zesłańcach robiono duże. Stało się jednak coś, czego władze się nie spodziewały.

Zgromadzeni w takiej ilości zesłańcy oczywiście nie mogli myśleć wszyscy o znalezieniu dla siebie sposobu zarobkowania. Założona „samopomoc zesłańców“, wobec ogólnej nędzy, niewiele mogła zrobić; na domiar złego z dawnych patryarchalnych stosunków pomiedzy wygnańcami a ludnością miejscową nie pozostawało ani śladu. W roku 1908 zaczęły się szerzyć w całym Turuchańskim kraju i het, na północ, w górę po Jeniseju rozmaite epidemie, dziesiątkujące ludność tubulczą i kolonie zasłańców. (C. d. n.)

*) Listy te otrzymane przez nas od D-ra M. i W. S, skazanych na osiedlenie w Syberyi za należenie do P. P. S. — niestety nie zachowały się; podajemy ich treść w przybliżeniu (przyp. aut.)

**) Jenisejska gub. Zachodnia Syberya. (przyp. aut.)

OBRAZKI Z BELGII.

Bruksela, 10. listopada.

Wali się w gruzy gmach polityki, od lat 26-ciu misternie budowany. Na nic się zdały płatne manifestacye *parade-bauer'ów* flamandzkich, na nic — próba rozdmuchania walki bratobójczej, na nic kierownictwo „uczonych“ z Lovanium i kardynała z Malines, na nic wprowadzenie polityki i religii przez dymisyonowanego prezesa ministrów do rad gminnych, na nic wreszcie — ostateczny porachunek sił katolickich z cieniu zaprojektowanego pomnika ku czci krwawego adjutanta samego „szatana katolicyzmu“.*)

Klerykalny rząd stoi na skraju przepaści. Lud wyrywa z rąk kosmopolitycznych mnichów i mniszek wychowane swych dzieci, lud wyrywa władzę z rąk klasztorów, z rąk, które krzyżem i monstracyą zasłaniać zwykły najpotworniejsze intrygi i zbrodnie.

Sprawiedliwości staje się zadość. Stało jej się zadość przedewszystkiem przy ubiegłych wyborach do rad gminnych, kiedy świetne zwycięstwo odniosł blok liberalno-socyalistyczny.

Z okazyi tej wydano tu setki tysięcy pocztówek, illustrujących sojusz liberałów z socyalistami. Vandervelde, z czerwonym sztandarem w ręku, na czele tłumów robotniczych wita Hymansa, dzierżącego błękitną chorągiew liberałów. Na dole, wśród nawałnicy gromów bijących, uchodzi z Belgii klesza czereda.

Pamiętam numer „Kuryera Codziennego“, organu P. P. S. w dobie krótkotrwałej konstytucyi.

„Na rynku, w Ostrowcu połączyły się dwa pochody: narodowy i socyalistyczny; sztandar czerwony stanął obok sztandaru z orłem białym,“ pisał korespondent „Kuryera“.

„Towarzysze, wzywamy was do napiętnowania tego skandalu. Nie wolno plugawić czerwonego znaku wizerunkiem gęsi białej“, pisał jakowyś domorosły Vandervelde z Nalewek w pewnym poczytnym organie ówczesnych *socyal-demokratów* Królestwa Polskiego i Litwy.

Nie chodziło wówczas o dorywcze parlamentarne zwycięstwa w Polsce. Chodziło o wolność, o możność życia swobodniejszego, o połączenia elementów rewolucyjnych przeciwko najazdowi.

Historia est magistra vitae. Nie dla ciebie, kraju ojczysty, nie dla was, bracia i towarzysze, co magistrami życia narodowego w historycznych chwilach pozwoliliście być ludziom bez narodowości i bez ojczyzny.

* * *

*) Klerykali lovańscy zaprojektowali wyniesienie pomnika księcia Albic. Projekt ten utonął w powszechnym oburzeniu ludności belgijskiej.

Na placu Kościoła Świętej Katarzyny odsłonięto w Brukseli pomnik Ferrera.

W więzieniu śledczem w Warszawie, dzięki „staraniom i przedstawianiom“ ks. biskupa Zdzitowieckiego osadzono jedynego polskiego wolnomyśliciela, Andrzeja Niemojewskiego. *Ticus*... Aż mi dziwno...

Chociaż... „w autonomicznym“ zaborze Polski, mój imiennik, Wojciech Dąbrowski, na szpaltach „wybitnie polskiego dziennika“, wykrył drukiem, że „Polskie Towarzystwo dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom politycznym“ założone zostało przez „masonów“, i dlatego to *un vrai polonais catholique* popierać tej sprawy farmazońskiej nie może.

Wielki Henryku, coś oddał pod straż więzienną legionistów polskich Piusa VI., patrona Targowicy...

Cienie Rymkiewicza, Wybickiego, Staszyca, Łukasińskiego.

Świetlana postaci chłopskiego Naczelnika.

Duchy jasne, gwiazdy promienne, kiedyż zapłoniecie nad narodowym Polski ołtarzem!

Już wieki idą, a ołtarz ten ciągle plugawią ręce... Massalskich, Kossakowskich i Macochów.

„W powietrzu czad zgaszonych świec, mroczno, grobowo w narodowym kościele“.*)

Zaduszki.

* * *

W obszernej sali *Maison du Peuple* odbywa się międzynarodowy wiec w sprawie najazdu Włoch na Trypolis.

Aktualne wypadki. Sympatya ludów dla Turcyi. Padają z mownicy socyalistycznej słowa: *ojczyzna*, *broń*, *siła*, *najazd*, *patryotyzm*.

Zbrojenia rządów wywołać muszą zbrojenia ludów.

Każdy czyn w słowie publicznym poczynać się musi, by konkretną formę przyoblec.

...Są bowiem chwile w życiu ludów całych, kiedy na siłę, siłą odpowiedzieć należy. (Furnemon).

Zaś chwila ta, u nas w Polsce, już w pół wieku się rozdłuża...

Choć „każdy naród ma prawo do stanowienia o sobie, ma prawo do bytu niezależnego“ (Huysmans).

Turcy za broń chwycili, najazd dzielnie odpierają. Mnożą się dla nich objawy sympatyi powszechnej. Socyaliści w objawach tych stają oficyalnie po stronie rządu tureckiego, identyfikując rząd i lud. Wspomnienia, krwawe wspomienia...

U nas, „po raz pierwszy w dziejach narodu byli narodowi obcy ci, co na wroga podnieśli rękę uzbrojoną“.*)

Zaś socyaliści nasi identyfikować zwykli rząd carski z ludem carskim, stając w obronie „towarzyszy w mundurach“ moskiewskich Wołyńców i Siemionowców.

Tak oto i my pochlubić się możemy swoim antymilitaryzmem i swoim protestem przeciwko uzbrojeniu ludów.

Lecz z nami nie będzie ni tow. Huysmans, ni tow. Bebel, ni tow. Jaures — bodajby nawet w warszawskim filolitwackim organie jeszcze ze 2 listy zamieścili.

* * *

Dziś, szybko podążając do gmachu, w którym się mieści *Musée moderne*, spotkałem dziwny orszak wojaków belgijskich. Szli swobodnie, w szeregach, prowadził ich rotny feldfebel-sierżant, do muzeum.

Widywałem ja w tym gmachu mnogie szkółki tutejsze, widywałem czeredy chłopów i robotników z prowincyi, zaś widziałem nawet po cywilnemu ubranego Alberta I. z żoną (*incognito*), spotkałem nawet Polaka w maciejówce.

Ale dzisiejsze spotkanie przeszło wszelkie moje oczekiwania.

Uprzejmy sierżant zakomunikował mi, że to jest nowe zarządzenie króla. Dzieci z dzieci, w południowych godzinach, miast ogłupiać rekrutów bezmyślną soldateską w koszarach, prowadzi się ich do muzeów, tak bogatych tutaj...

Żołnierz belgijski staje się obywatelem, w całym tego słowa znaczeniu.

By ojczyzny bronić, trzeba ją znać.

I cóż mi z tego, że tam, w Krakowie, obstąpią dziewki z Bronowic Solskiego na deskach teatralnych, kiedy w Drohobyczu...

I cóż mi z tego, że u pomnika Dwernickiego stanie kilkudziesięciu amarantowych ułanów z „Sokoła“, kiedy sam miałem do siebie wymierzone lufy brauningów sokolskich w Łodzi...

„Pawie pióra“, „pawie pióra“. A tu trza chwycić młoty z dłoń i kuć broń pod hasłem belgijskiem „*L'union fait la force*“.

*) Z „Fragmentu“ — A. Strug.

*) Ibidem.

SPRAWOZDANIA.

PIOTR CHOYNOWSKI. — „Zdarzenie“ (nowele). Spółka Nakładowa „Książka“ — Kraków. Składy główne: Warszawa, G. Centnerszwer i Ska; Lwów, H. Altenberg; New York. The Polisch Book Importing Co 1911 r. str. 192.

Ostatnie kilka lat w literaturze polskiej zauważyć się daje dość znamienny zwrot ku realizmowi. W dramacie panuje Zapolska i jej szkoła. Reymont coraz większe (i coraz zasłużeńsze — dodajmy) znajduje uznanie, poruszając coraz to nowe tematy („Wampir“); — nie mniejszem uznaniem w pewnych kołach cieszy się Józef Weyssenhoff. — Grubiński, Bartoszewicz („Słabe serca“, „Psie dusze“), Kiedrzyński, stary, niemal że zapomniany pozytywista, Gomulicki, a nawet Krzywoszewski mają coraz większe powodzenie. Modernizm się przeżył i przechodzi ewolucyę. Dwaj z jego najwybitniejszych przedstawicieli: Przybyszewski i Berent zrywają z przeszłością i od dawnego amoralizmu i dekadentyzmu („Próchno“, „Homo Sapiens“, „Synowie Ziemi“) przechodzą do imperatywów natury społecznej i etycznej. Ostatnie ich utwory (mniej czy więcej udatne — nie obchodzi nas to obecnie): — „Zmierzch“ i „Ozimina“, poruszają takie zagadnienia, jakich nie poruszał, a raczej unikał miryamowski indywidualizm. Okres estetyzującego indywidualizmu prześpiewał już swoją ostatnią pieśń łabędzią. Przedstawiciele tego kierunku sami burzą gmach, zbudowany przez nich. Na razie jednak trwa okres z jednej strony krystalizacyi, z drugiej — szukania.

Na nieśmiertelnej wyżynie trwa Wyspiańskiego symbolizm. Coraz szersze koła zatacza w literaturze polskiej mistycyzm. Coraz głośniej i przez coraz to liczniejszych adeptów powtarzane jest to jedno imię: — Miciński.

Bądź co bądź, najmłodsze siły zdają się garnąć ku realizmowi. Jednym z tych młodych jest Piotr Choynowski.

Jest pewien rodzaj metody realistycznej, która nie wyklu-

cza amoralizmu. I to nie amoralizmu „s a n i n o w s k i e g o“ (patrz „Sanin“ Arcybaszewa) — amoralizmu, jako tezy utworu, który już przez to samo staje się tego utworu morałem, — lecz amoralizmu w znaczeniu negacyi wszelkiej ideologicznej, lub etycznej osnowy, wszelkiej apriorystycznej tezy, lub tendencyi. Należy tylko pozwolić mówić samemu życiu — życiu, które nie zna morałów.

Autor powinien zdobyć się tylko na doskonały objektywizm i nie kłaść najmniejszego piętna swych indywidualnych przekonań, lub sympatyi na krystalizujące się w jego oczach w twór sztuki — podług własnych swych organicznych praw — życie.

Czy to jest możliwe? — W zupełności — nie; w przybliżeniu — tak.

Autora w tym wypadku w sawym utworze być nie powinno. Miejsce jego poza utworem. Rola jego jest rolą inscenizatora i — widza, nie zaś aktora.

Od takiego amoralnego objektywizmu daleko było naturalistycznemu Zoli; nic z nim wspólnego nie mają i mieć nie mogą tacy pisarze, jak Zapolska, lub Weyssenhoff. Zbliżył się do niego do pewnego stopnia autor „Chłopów“. Najbliższym, być może, z nich wszystkich jest Piotr Choynowski.

Piotr Choynowski należy do niezbyt licznego rzędu tych młodych pisarzy, którzy przynoszą coś rzeczywiście nowego do polskiej literatury. Cechują go zwłaszcza: doskonały zmysł psychologiczny i obserwacyjny, świetność i barwność monologów, bogactwo wzorowanego na potocznej miejskiej (warszawskiej), lub żargonowej (żargon dziecięcy, andrusowski) gwarze—języka, pewna niewybredność artystycznych środków, pewna brutalność, sekundowana natomiast śmiałością w kreśleniu sytuacyi i charakterów. Do słabych stron książki zaliczyć należy garść rusycyzmów, bądź „kresowych“ wyrazów i zwrotów, kaleczących język, nieudaną groteskową postać markiera („W cukierni“) — przedewszystkiem jednak zależność młodego autora od pisarzy tej miary, co Żeromski, Berent, G. Daniłowski i in. Sama jednak większa ilość tych imion i ich rozbieżność, zarówno jak i całkowita odrębność charakteru twórczości Choynowskiego, która już teraz wybitnie się zaznaczyła, jako przynależna do szkoły realistycznej — mówią za tym, że wpływy te są tylko przelotne i Choynowski pójdzie — bo pójść musi — swoją własną, odrębną drogą. Wszelka zależność, powodująca u Choynowskiego silenie się na impresyonizm, jest mu tylko szkodliwą i obniża wartość jego utworów.

Autor „Zdarzenia“ porusza przeważnie tematy, zaczerpnięte z codziennego życia — tego życia, które się widuje z dnia na dzień, lecz które, pomimo to, lub może właśnie dlatego — pozostaje zapoznane. Niektóre z jego spostrzeżeń obyczajowo-psychologicznych czynią niemal wrażenie objawień. Takie tematy, jak „Altruista“, „Zdarzenie“, „Czyn“ — zbliżają go — na pierwszy rzut oka — do takiego pisarza, jak Liciński. W innem znów miejscu — w now. „Barowska“ — zdaje się zbliżać do Żeromskiego. Zachodzi tu jednak złudzenie optyczne. Licińskiego od Choynowskiego dzieli cała przepaść — nie tyle przekonań, lub sympatyi społecznych (o tych w stosunku do Choynowskiego trudno, opierając się na jego utworach, powiedzieć coś konkretnego) — co całkowicie odmiennej metody pisarskiej. To samo da się powiedzieć i o Żeromskim w stosunku do Choynowskiego. Jak Żeromskiego, tak i Licińskiego cechują wielka wybuchowość, znamienny dla ich twórczości podkład ideologiczny i etyczny, — przedewszystkiem zaś ten subjektywny pierwiastek, króry u Żeromskiego przechodzi w drogocenny kruszec liryzmu, — psujący mu nieraz architektoniczną budowę utworu, — niemniej — stanowiący nietylko o społecznej, lecz także i o artystycznej wartości jego dzieła.

Zimny, rozważny, objektywny Choynowski nie potrafi również wznieść się na ideologiczne wyżyny, na jakie się wzniósł autor chybionych pod względem artystycznym „Halucynacyi“. Realistyczna metoda nie pozwoli mu dać syntezy, lub symbolu życia. Pójdzie on swoją drogą w dziedzinę psychologicznych dociekań i skrzętnie a sumiennie notowanych obserwacyi. I tam jednak można tworzyć. Po autorze „Zdarzenia“ spodziewamy się jeszcze niejednej prawdy o życiu.

Bol.(—w) L.(—cz).

ŚLIWIŃSKI ARTUR: POWSTANIE LISTOPADOWE. Doskonała książka, popularna, pisana krwią serdeczną, jak wszystko, co wychodzi z pod pióra p. Śliwińskiego. Mniejsza o małoznaczące usterki w opowiadaniu, gdzie idzie o mądrą przestrogę, lub o pokrzepienie serca. Temu zaś książka p. Śliwińskiego czyni w zupełności zadość, a ponieważ odznacza się barwnym i gorącym stylem, spełni dobry obowiązek wobec szerokiego koła polskich czytelników. Bezlitosna w wykazywaniu błędów, rozpaczliwie smutna w zdaniu końcowem: „Powstanie listopadowe skończyło samobójstwem“, mocna jest i pobudzająca w swojem umiłowaniu czynu, energii, cnoty i rozumu, których brak u wodzów ówczesnych doprowadził do kapitulacyi stolicy, do porzucenia sztandarów, do zaprzepaszczenia wielkiego dzieła, które miało wyjątkowe w dziejach porozbiorowych warunki powodzenia.

SILVA RERUM.

LIBERUM VETO. Niema hasła nad solidarność narodową — krzyczeli w niebogłosy „narodowi demokraci“. Kto podczas niedawnych wyborów do parlamentu byłby się ośmielił kandydować na program burżuazyjny bez zobowiązania się wstąpienia do Koła polskiego, byłby był okrzyczany przez „Słowo Polskie“ za zwyrodniałego anarchistę. Kto podczas nieco wcześniejszych wyborów do lwowskiej Rady miejskiej poważył się jednoczyć wszystkie demokratyczne głosy polskie bez względu na zawód i wyznanie, kto sądził równocześnie, że należy szukać punktów stycznych z Rusinami, ten był potępiany, jako „antynarodowiec, żyd, mason i hajdamaka.“ Było to tak bardzo niedawno. Dzisiaj obraz zupełnie odmienny. W lwowskiej Radzie miejskiej solidarność uchodzi nadal za potrzebną, bo tam „narodowi demokraci“ wzięli wszystko za łeb i dysponują „Strzelnicą“, jak im się żywnie podoba. Inaczej w Kole polskiem. Tam „narodowi demokraci“ wysunięci zostali za nawias, więc solidarność narodowa staje się naraz szkodliwą, zgubną dla narodu, niesolidarność zaczyna się stawać nowem przykazaniem narodowem. Bajeczny widok!

„Słowo Polskie“, a za niem „Kuryer Lwowski“, chcą naśladować Rejtana. Mają sposobność nielada. Ekscelencyi Bilińskiemu przydarzyła się kapitalnie niemądra mowa, niezgodna z prymitywnemi wyobrażeniami o godności narodowej — cóż to za wspaniała okoliczność, ażeby wystąpić w obronie zagrożonego, czy nawet znieważonego honoru. Wszakże Eksc. Biliński — to nie On, namaszczeniec IV-go okręgu, przyjmujący równocześnie ze Skałłonem order Leopolda, rzucający się, jako prezes delegacyi, z tym samym gestem, pod stopy c. k. Rządu — to nie Dmowski — Wybawca, postępujący analogicznie w Dumie petersburskiej. Wtedy było wszystko w porządku — zdrowo i honorowo, bo to byli „narodowi demokraci.“ A „si duo faciunt idem, non est idem“. Co wolno Jemu i Dmowskiemu, tego nie wolno Bilińskiemu.

Jest i druga okazyjka. Na krześle namiestnikowskiem rozparł się nieprzejednany konserwatysta, nieubłagany doktryner, gdy idzie o zgniecenie przeciwników, lub ludzi niemiłych, człowiek, traktowany w kraju z ogólną niechęcią — i to od lat bardzo wielu, którego polityka prawie zawsze na zgubę kraju wychodziła. Ten namiestnik, osobisty wróg „narodowej demokracyi“, jest jej kością w gardle, bo on to przedewszystkiem wysunął ją za nawias i rzucił w zasłużone rumowisko. Łatwo w takim wypadku o pozyskiwanie opinii przeciw człowiekowi niesympatycznemu. Czy jednak przekonania polityczne namiestnika są zawadą „narodowej demokracyi“? Broń Boże! Gdyby ten sam namiestnik dopuścił do żłobu panów ze spółki „Słowa Polskiego“, byłby najlepszym człowiekiem, najdoskonalszym patryotą, byłby to bodaj, czy nie drugi On. Ponieważ zaś większość Koła polskiego jest za namiestni-

kiem, więc zaczyna się powątpiewać o potrzebie solidarności Koła polskiego, zaczyna się grozić secesyą, którą byłoby się potępiło najsurowszemi obelgami, gdyby stosunki w Kole pozwalały rządzić się tam despotycznie dzisiejszym stróżom godności narodowej. Robi się zatem nastrój i zaczyna się odgrywać najohydniejszą komedyę.

Każdy szczery demokrata dalekim jest od aprobowania polityki Bilińskiego i Bobrzyńskiego. Jest to bowiem szkodliwa polityka reakcyjna. Jednak nikt inny, tylko „Słowo polskie", przez swoją frazeologię nacyonalistyczną i demagogię klerykalną, doprowadziło do tego, że taka właśnie szkodliwa polityka odniosła zwycięstwo. Dlatego nie da się wziąć na plewy nowej demagogii. „Narodowej demokracyi" nie przyzna nikt roli Rejtana, bo jest to tylko głos Suchorzewskiego, lub Szczęsnego Potockiego, głos obłudy i egoizmu, głos, obcy zupełnie demokratycznej polityce narodowej. W tej polityce, jeżeli obywatelstwo obowiązki swoje zrozumie, ani Bobrzyński, ani Biliński nie będą potrzebni, lub jeszcze mniej będą potrzebni panowie ze spółki „Słowa Polskiego".

DUCHOWNE DYREKTURY. Wiceszef galicyjskiej magistratury szkolnej, specyalista od mów okolicznościowych, wyraził się na zeszłorocznej uroczystości w lwowskiem małem seminaryum, utrzymywanem przez duchowieństwo, że pragnąłby, aby cała młodzież galicyjska takie odbierała wychowanie. Na tegorocznej uroczystości w gimnazyum chyrowskiem oddawał podobne pochwały wychowaniu jezuickiemu. Gdyby p. wiceszef był osobą prywatną, sprawa byłaby w porządku, Każdemu wolno mieć, jakie chce, prywatne zapatrywania. Inaczej stoi sprawa, gdy podobnie wojownicze opinie wygłasza osoba urzędowa, która zdaje się zapominać, że według ustaw państwo bierze na siebie utrzymywanie i nadzór nad szkołami, które zatem są instytucyami publicznemi dla wszystkich zawodów, wyznań i narodowości i nie mogą być przenigdy instytucyami wyznaniowemi. Pedagogia taką rolę państwa w całości aprobowała, gdyż jedyna to droga do należytego wykształcenia i uspołecznienia. Ale ktoby się troszczczył w Galicyi o warunki ustawowe, kogo interesują względy pedagogiczne, a zwłaszcza co to obchodzi panów na wysokich urzędach w szkolnictwie. W rezultacie jednak najfrazesowsze gadaniny okolicznościowe, streszczane pilnie w „Gazecie lwowskiej" (zgrzytanie zębów, gdyby tego nie było, wraz z wymienieniem nazwiska w porządku rangi i tytułu), niewielu czytelników interesują, więc nie są godne bliższej uwagi. Rzecz staje się dopiero wtedy szkodliwą, gdy naiwne mowy zamieniają się w czyn. Taki niepokój ogarnął obywateli, gdy dowiedzieli się o nowych kierownictwach, w dwu gimnazyach prowincyonalnych, oddanych w ręce katechetów (czytaj „Słowo Polskie"). Pan wiceszef miał — co prawda — przykład, bo za rządów nad szkołami obecnego p. namiestnika seminarya nauczycielskie i inspektury ludowe oddawano niejednokrotnie w ręce duchownych. Przykład nie był jednak dobrym i nie powinien być naśladowany, bo sprzeciwia się ustawie. Jakiem prawem ludzie, nie mający studyów filozoficznych, mogą kierować zakładami średnimi? Czy dalej, takie mianowania nie nadają szkołom średnim charakteru wyznaniowości i czy pozwalają na to ustawy? Czy nareszcie awanse profesorów są tak bardzo rozległe, że należy ich jeszcze w tej mierze ograniczać? Byłoby to zgodne poniekąd z rozsądkiem — choć sprzeczne z ustawami — gdyby probostwa, kanonie i prelatury mogły się dostawać w ręce ludzi świeckich, a więc i profesorów, jak to bywało dawniej, ale dzisiaj zakusy tego rodzaju powinne być z całą siłą potępione. Kto pragnie wszystko poddać władzy duchowieństwa, niech zrobi z siebie dobry wzór, niech wstąpi do kapucynów i odda się pod opiekę ojca gwardyana, I niechaj będzie pewny, że będzie to przyjęte przez społeczeństwo z takim samym dobrym humorem, jak owe wesołe już dzisiaj mowy á la Wilhelm II. Szkoła na tem zyska.

CIEKAWE. W ostatnich wyborach do Rady m. we Lwowie zwyciężyli — jak wiadomo — dzięki kruczkom i sztuczkom narodowi demokraci, zjednoczeni z kołtuństwem. Zwycięski blok reakcyjny objął też naturalnym rzeczy porządkiem rządy w mieście i niepodzielnie je sprawuje. Blok walczył pod hasłem „obrony polskości Lwowa" i „Precz z Rusinami!" Tymczasem — o zgrozo! — „Słowo Polskie" z środy donosi, że gmina m. Lwowa na rozkaz namiestnika, w zamian za pozwolenie na otwarcie miejskiej kasy oszczędności, zobowiązała się „wybudować w śródmieściu nowy gmach, przeznaczony wyłącznie na ruską szkołę, a stało się to wczoraj na ostatniem posiedzeniu Rady" (o ile nam wiadomo, we wtorek nie było żadnego posiedzenia Rady m., przyp. Red.). Więc jakże to? Wszechpolacy w swoich organach i na swoich zgromadzeniach zwalczają namiestnika, a w Radzie m. słuchają jego rozkazów? Rano, w południe i wieczorem zjadają w „Słowie" i „Gońcu" porcyę Rusinów — a w Radzie m. budują im wspaniałe gmachy!

Jeżeli Rada m. zdobędzie się istotnie na wybudowanie Rusinom jednej szkoły, to spełni tylko postulat sprawiedliwości i sama oczyści się od hańby, jaką okrywać ją musi tłoczenie ruskiej dziatwy w obskurnych, niehygienicznych norach dotychczasowej szkoły im. Szaszkiewicza. Za to też należy się jej tylko uznanie. Ale żeby się na to zdobyli lwowscy kołtuni i wszechpolacy — to poprostu nie do uwierzenia!

MACIERZ SZKOLNA KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO wydała sprawozdanie z powodu 25-lecia swojej zbożnej działalności. Obznajomieni bliżej ze stosunkami w Cieszyńskiem wiedzą doskonale, ile włożono w nią najszlachetniejszych zapałów, trudów i poświęcenia, ile z drugiej strony trzeba było walki z wrogiem zewnętrznym, z samolubstwem i przeszkodami wewnętrznemi, ażeby inicyatywę sp. S t a l m a c h a przez wszystkie niepogody i burze szczęśliwie naprzód poprowadzić. Nie pora przypominać winowajców; powodzenie dzieła jest dla nich dostatecznem upokorzeniem, jak znowu to samo powodzenie jest największą nagrodą dla tych, którzy wytrwali i w chwilach najtrudniejszych rąk nie opuścili. Najlepsi ludzie na Śląsku brali udział w pracach Macierzy, niezłomni patryoci poza Śląskiem przynajmniej na jakiś czas stykali się bliżej z jej działalnością. Między szczególniejszymi dobrodziejami niezapomniane zostaną dla Macierzy nazwiska: Ignacego B a g i ń s k i e g o, Antoniego O s u c h o w s k i e g o i Stanisława H a s s e w i c z a. Cześć tym wszystkim, wymienionym i niewymienionym, za wiarę w lepszą przyszłość!

Za 25 lat pracy wydała Macierz 1,780.699 kor,, na którą to cyfrę w olbrzymiej części złożyły się drobne datki i ofiary. Pięć ufundowanych zakładów, z których na pierwszy plan wysuwa się gimnazyum polskie w Cieszynie, przyjęto na koszt publiczny; dziesięć szkół, ośm ochronek i burs pozostaje nadal na wyłącznym koszcie Macierzy, oprócz tego trzy zakłady były, lub są przez nią subwencyonowane. Wypróbowana ofiarność ogółu polskiego na cele publiczne wogóle, — pisze sprawozdanie, — a na ratowanie zagrożonego bytu narodowego w szczególności, każe nam patrzeć z otuchą w przyszłość i wierzyć silnie, że Macierz doprowadzi do swego przewodniego celu, którym jest: Odzyskanie Śląska dla narodu polskiego." Podzielamy wiarę Macierzy i składamy jej na dalszą błogosławioną działalność najserdeczniejsze życzenia.

SPRAWOZDANIE kasowe komisyi, powołanej z łona Stow. im. J. Lelewela do odnowienia pamiątkowej tablicy na domu przy ul. *Des Esperonniers* w Brukseli:

D o c h ó d z list składkowych:		W y d a t k i:	
Lista Brukselska	33 fr. 00 c.	Koszta odn. tabl.	72 fr. 70 c.
Listy Paryskie Nr. I.	65 fr. 50 c.	Nadwyżka, przep. na	
Nr. II.	5 fr. 90 c.	Nr. I. listy skł. Fund.	
Nr. III.	3 fr. 05 c.	Nauk. im. Lel. przy	
		„Filarecyi" w Paryżu	34 fr. 75 c.
Razem	107 fr. 45 c.	Razem	107 fr. 45 c.

Za Stow. Polskie im. Joachima Lelewela w Brukseli:
Erazm Szamotyba, sekretarz.

Za Komisyę:
M. Dąbrowski.

POLSKI UNIWERSYTET LUDOWY w ST. ZJ. AMER. PÓŁN., założony w r. 1908, ogłasza sprawozdanie za r. szk. 1910/11. Potrzeba oświaty na wychodztwie zrodziła myśl założenia Uniwersytetu Ludowego. Stan umysłowy wychodźców jest po największej części opłakany, zawdzięczając to niestety rodzonej ziemi, którą opuścili. „Zabobony odgrywają ogromną rolę, cała moc wróżek i wróżbitów gnieździ się w polskich dzielnicach, a bajanie kleru o budach utwierdza te pierwotne pojęcia, przeżyte już dawno wśród ludzi cywilizowanych. Znachorstwo zmusza apteki do sprzedawania „człowieczego sadła" i to czasem „od szlachcica"... Waśnie i pieniactwo rozpanoszyły się między ludnością, dzięki ciemnocie, a stąd i zupełnego braku wyrozumiałości, jakoteż dzięki fanatyzmowi, budzonemu przez kler, szczczególnie między kobietami. Wskutek małego uświadomienia wychodźtwo polskie jest mniej odpornem na wyzysk kapitalistyczny, pod którym żyje i pracuje. Skutkiem tejże ciemnoty niema jedności między Polakami — natomiast są „Ruski", „Pruski" i „Galicyany", a pozatem życie polskich organizacyi wychowuje gwałtownie wybujały separatyzm, tak, że niema większego wroga dla „związkowca" (narodowa organizacya) nad „zjednoczeńca" (organizacya klerykalna), natomiast obydwaj ci Polacy zjedliby żywcem Polaka-socyalistę. (Coś, jakby u nas!). W roku sprawozdawczym urządził Uniwersytet w mieście Chicago 32 wykładów niedzielnych z frekwencyą 3.008 osób (2.425 mężczyzn, 583 kobiet) i 52 wykładów w dni powszednie z frekwencyą 1,665 osób (1.290 mężczyzn, 375 kobiet). Zarząd P. U. L. stara się o zá-

kładanie placówek po innych miastach celem „szerzenia wiedzy i wolnej myśli.“ Łączność z całością wyraża się w jednym, wspólnym kierunku pracy oświatowej, oraz wzajemnej pomocy, a czucie pomiędzy oddziałami otrzymuje się przez wspólnie obierany zarząd instytucyi z siedzibą w Chicago. Oddziały rządzą się autonomicznie.

PLOTKA. Wyraz i treść wyrazu specyficznie polskie. Urodziła się plotka przy kominkach staropolskich, rozrosła się przy dzbanach piwa, przy półgarncówkach miodu i wina, na hreczkosiejskich biesiadach, zwyrodniała w babińcach i parlatoryach klasztorów jezuickich. Niewinna, dopóki życie zamykało się na wsi, chociaż już i wtedy do niejednej doprowadziła burdy, stała się straszną, gdy wraz z emigracyą mieszkańców dworów i dworków przeniosła się do miasta i tutaj w wielkiem środowisku próżniaczemu żywotowi dostarczyła rozległego terenu operacyjnego. Rozpanoszyła się tutaj do niebywałych rozmiarów, nauczyła kłamstwa i przewrotności, stała się zabójczem narzędziem w „sekretnych“ ustach zdeprawowanych wyjadaczy, pochlebców i sykofantów. Przerodziła się w ohydę dla życia obyczajowego Polaków, zatruła moralność, spodliła dusze. Znają plotkę Warszawa i Kraków, ale wprost potworną stała się plotka we Lwowie. W mieście naszem jest szereg oszustów, dla których plotka stanowi zawodowe zajęcie. Niema oszczerstwa, któregoby nowi Tartuffowie, czyli obleśnicy, nie potrafili wyssać z palca, dla któregoby nie znaleźli chętnych słuchaczów. Plotka cieszy się u nas szczególną protekcyą, bo daje bezmyślnej hołocie usprawiedliwienie własnej nikczemności. Plotka wszystko przedstawia na opak: zabija uczciwych, wynosi upodleńców. Plotka jest dowodem barbarzyństwa życia obyczajowego, bo społeczeństwo kulturalne, a więc czujące się odpowiedzialne za sądy, które wydaje, nie może posługiwać się plotką Francuzi, Niemcy i Anglicy, narody kulturalne, nie znają nawet wyrazu, któryby odpowiadał polskiej plotce. Życie publiczne i towarzyskie jest u nich jawnem i otwartem, jedynie godnem ludzi uczciwych. Kiedyż u nas kultura na tym samym stopniu się znajdzie, że plotka, ów bękart obyczajowy, a z nią wszyscy plotkarze będą traktowani na równi z włamywaczami, złodziejami kieszonkowymi i mordercami.

Z RAPTULARZA.

UCIECZKA SICZYŃSKIEGO. Z więzienia słanisławowskiego uciekł zabójca poprzedniego namiestnika, Siczyński. Pod zarzutem udzielenia pomocy w ucieczce aresztowano czterech dozorców. Ucieczki politycznych przestępców trafiały się wszędzie, nie wywołując burzy w pismach. Konserwatywna i endecka prasa nie może jednak przeboleć tego faktu i miota się w paroksyzmach i rozpaczy — pierwsza bez kierunku, druga znalazła kozła ofiarnego — oczywiście w namiestniku.

Oficynowy organ endecki został nawet z tego powodu skonfiskowanym, a los jego podzieliła poważna podolacka „Rzeczpospolita“. Powodu tych konfiskat odgadnąć nie możemy. Metoda walki patentowanych narodowców z namiestnikiem, może przecież u wszystkich ludzi myślących przynieść szkodę tylko pierwszej stronie.

NOWY PREMIER AUSTRYACKI zaznaczył w dyskusyi nad wnioskami drożyźnianymi dobitnie swoje stanowisko wobec parlamentaryzmu w Austryi. Oświadczył bez osłonek, że w razie uchwalenia przez parlament wniosków Rennera i Jerzabka (dowóz mięsa argentyńskiego) rząd ich nie wypełni. Oświadczenie to wywołało w izbie konsternacyę. Żaden z ministrów, nawet Bienerth, nie proklamował dotąd tak otwarcie rządów antykonstytucyjnych z trybuny parlamentarnej. Nawet wierni trabanci maskowanego absolutyzmu z Nationalverbandu nie mogą ze względu na wyborców oświadczyć się wobec tego za ministrem, który w obronie utrzymania lichwy mięsnej gotów jest podeptać konstytucyę.

SPRAWA MAROKKAŃSKA W REICHSTAGU wywołała doniosłą w skutkach dyskusyę. Nieszczęśliwy twórca traktatu, kanclerz Rzeszy, Bethman-Hollweg, spotkał się z atakami wszystkich stronnictw i to z rozmaitego punktu widzenia. Lewica atakowała go za lekkomyślne i bezużyteczne dla Niemiec zaawanturowanie się w sprawę marokkańską, która trzymała miesiącami kraj w naprężeniu przedwojennem i spowodowała wstrząśnienie ekonomiczne, prawica i nacyonaliści zarzucili mu, że nie doprowadził do wojny. Z najgwałtowniejszym atakiem wystąpił leadar konserwatystów Heydebrand, dotąd główna podpora rządu, niedwuznacznie podżegając do wydania wojny Anglii. Mowę jego oklaskiwał ostentacyjnie i to w najdrastyczniejszych miejscach następca tronu, specyalnie przybyły z Gdańska. Gdy Heydebrandowi odpowiadał Bebel, wyrażał kronprync swoje niezadowolenie głośnem ziewaniem i śmiechem. Fronda księcia wywarła jednak przeciwny skutek. Cała prasa, z wyjątkiem „mannesmanowców“, potępiła „Kronprinzpolitik“ — która tak ostentacyjnie wystąpiła przeciw polityce ojca i wprowadziła Niemcy w nieprzyjemną pozycyę wobec Anglii. Kanclerz, którego ataki prawicy uczyniły siłą rzeczy znośniejszym dla lewicy, odpowiedział Heydebrandowi ostro, zarzucając mu, że naraża zagraniczną politykę państwa dla uzyskania wygodnej platformy wyborczej. Kronprync musiał przeprosić kanclerza i odjechać do swego pułku. Dyskusya marokkańska skończyła się klęską konserwatystów.

ULTIMATUM POSŁAŁA ROSYA Persyi z powodu rzekomej obrazy swego konsulatu. Rząd perski w poczuciu swej słabości gotów dać najszersze zadośćuczynienie, czy to jednak powstrzyma rząd carski od planowanych zaborów, niewiadomo.

W WOJNIE WŁOSKO-TURECKIEJ nastała na afrykańskim terenie względna cisza. Włosi podwoili swoje siły i udało się im pod Trypolisem odzyskać dwa utracone forty. Nocne ataki Arabów nie ustały jednak, a wspiera ich dziesiątkująca Włochów cholera. Natomiast gotują się Włochy do podjęcia, wbrew przyrzeczeniu danemu mocarstwom, akcyi na morzu Egijskiem, coby mogło wciągnąć w konflikt inne mocarstwa.

Okrucieństwa włoskie spowodowały interpelacye w wielu parlamentach. W naszym wniósł ją p. Breiter. Przewodniczący warunkowo przychylił się do niej.

W CHINACH rewolucya rozszerza się, choć miejscami odnosi rząd cesarski sukcesy. Tak utrzymał się on w Nankinie po urządzeniu krwawej rzezi wśród ludności.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawcy: Dr. **Aleksander Lisiewicz** i inż. **Hipolit Śliwiński.**

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“. LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“